

KUŹNICA

Rok 2

Łódź, 3 grudnia 1946 r.

Nr 47 (65)

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

JUGOSŁAWIA W WALCE Z NIEMCAMI



Walka o Knin. Artyleria partyzancka w akcji.
w górach w 1943 r.
obok: ranny Tito i premier Ribor

Zdjęcia do artykułu Piotra Borowskiego
„W Jugosławii”

KAZIMIERZ SOKOŁOWSKI

GOSPODARKA ODBUDOWY

ZARZUCANO nam dawniej, że nie umiemy się organizować. Zarzut ten — może kiedyś słuszny — w naszych czasach nie pokrywa się z rzeczywistością. Przeciwnie — gdziekolwiek i kiedykolwiek Polacy znajdą się w trudnych warunkach, natychmiast biorą się do organizowania życia. Im przy tym trudniejsze są te warunki, tym żywiej przebiega proces organizacji takich czy innych odcinków naszej działalności. Na obczyźnie stwarzamy od razu wojsko i szkolnictwo, wydajemy — co tak zawsze zdumiewa obcych — czasopisma i książki*). I dlatego gdy tylko milnik działa, bierzemy się z miejsca do pracy. Do budowy i odbudowy. Do tworzenia zrębów państwowości, gospodarstwa narodowego, kultury. Chłop polski orze pod kulami, pociąg polski funkcjonuje nazajutrz po oczyszczeniu terenu z nieprzyjaciela, robotnik polski uruchamia spalony czy uszkodzony warsztat pracy, polski urzędnik zgłasza się od razu do biura, w którym jeszcze przed godziną urzędował wróg.

W tym tkwi coś więcej, niż t.zw. prawo życia, niż potwierdzenie zasady: natura nie znosi próżni. W naszym kraju dołączają się ponadto: upór i zaciętość, chęć walki ze złem, zniszczeniem i śmiercią, niepoddawanie się klęsce. Z całą pewnością są to przejawy pewnej pierwotności, młodzieńczości i przewagi uczucia nad umysłem. I niewątpliwie im zawdzięczamy szybkie tempo odbudowy.

2. Nie dokonano dokładnych obliczeń, ile wyniosły straty materialne, poniesione przez Polskę w straszliwej wojnie 1939—1945 r. Dane liczbowe różnią się od siebie w sposób dość znaczny: jedni wymieniają 69, inni 100 miliardów złotych przedwojennych czyli od 7 do 11 miliardów dolarów w złocie**). Które z tych ekstremów

są ściśle — nie wiadomo. Wiadomo co innego: roczny dochód narodowy Polski przedwojennej wynosił ok. 2 miliardów dolarów w złocie. Sześć lat bezmála trwająca wojna i gorsza od niej okupacja pochłonięły przeto dochód narodowy z okresu 4—6 lat pokoju.

Liczyby te mówią jedynie o stratach w majątku narodowym, który szacowano maksimum na 150 miliardów złotych przedwojennych. Już sam ten stosunek (60:150 względnie 100:150) świadczyłby o potworności poniesionych ofiar materialnych. Ale to przecież nie wszystko. A ludzie? Straty w ludziach — nie licząc konsekwencji zmian granic politycznych — wynoszą ok. 6 milionów istnień, z czego mniej więcej połowa przypada na ludność żydowską. Straty te przy tym dotknęły przede wszystkim mężczyzn i to w wieku najbardziej produkcyjnym. Wreszcie — strat w ludziach nie mierzy się tylko ilościowo. Fachowców we wszelkich dziedzinach straciłmy w stopniu, jakiego nie zna żadne współczesne państwo. To też zupełnie słusznie eksterminację polskiej inteligencji i elementu fachowego przyrównano do klęski pod Białą Górą, w której zginęła elita narodu czeskiego.

Wojna niszczy przeważnie na ślepo. Ostatnia wojna niszczyła z otwartymi oczyma, na zimno, z premedytacją, planowo i konsekwentnie. Była to wojna naukowa, pragmatyczna, celowa. Faszyzm, niemiecki burzył i zacierał ślady po tym, co zburzył i po tym, że zburzył. Gdziekolwiek stanął niemiecki żołnierz, tam wyrывano z korzeniami zastane życie i jego ślady, aby stać nowe, już tylko niemieckie ziarno. A gdy trzeba było brać nogi za pas i uciekać „zurück zum Reich”, nie pozostawiano kamienia na kamieniu, aby nie świadczył o tym, co było przed zwyciężskim marszem, i aby nie pozwolił na odbudowę życia, któremu zadawano śmierć na każdym kroku.

Dlatego też z taką metodyczną pasją niszczonej Polsce, a w niej przede wszystkim miast (ze stolicą na czele), punkty węzłowe współczesnej cywilizacji, ośrodki przemysłowe i postępu. Nie zaniedbano jednak i wsi, której najżyźniejsze pola oddawano zwyciężcom (do czasu) zdobywcom, niszcząc ludność autochtoniczną lub ją pauperyzując. Końcowe działania wojenne dopełniły reszty, pustosząc ogniem i

mieczem dolinę dolnej Narwy oraz Wisły od Nowego Korczyńska po ujście Pilicy.

Ostatnia wojna miała to do siebie, że ofiarą sierpowych ciosów i zagonów padały — prócz większych miast (Poznań, Gdańsk, Opole, Wrocław), również liczne miasta średnie i mniejsze oraz miasteczka, osady i wsie, leżące na szlaku pochodów wojsk pancernych i bombardowań lotniczych. Ataki były tak zaciekle i bezwzględne, a reakcja obrońców tak programowo desperacka i brutalna, że tereny spotkań po dziś dzień świecą ruinami i prochem domostw i przedsiębiorstw, zachwyszczonymi polami, zaminowanymi łakami czy lasami, zniszczonymi środkami łączności (drogi, mosty, koleje, lotniska, porty).

Do tego dołączył się niespotykany w ostatnich stuleciach exodus ludności, zamieszkującej dzisiejsze Ziemię Odzyskane. Paniczna ewakuacja Niemców przybrała niespotykane rozmiary i jeszcze do dnia dzisiejszego znajdują się dziesiątki wsi, w których nie ma żywej duszy, skąd nawet wróble się wyniosły.

Ale to jeszcze nie wszystko. Głębokie zmiany polityczne spowodowały niebywałą wędrówkę ludów, wobec której przesiedlanie ludności, metodą Hitlera jest niczym — nie ze względu na metodę, lecz ze względu na skalę. Zapoczątkowany w czasie działań wojennych i trwający do dzisiaj proces usuwania elementu niemieckiego oraz równoległy z nim proces powracania lub osiedlania się żywiołu polskiego posiada bez przesady znamiona wielkości. Jest to zabieg na miarę historyczną, odbywający się np. w najbardziej niesprzyjających warunkach materialnych i podmiotowych (z uwagi na radykalną zmianę środowisk i warunków bytowania), których przewyciężenie daje dowód naszej tężyzny, woli i organizacji. Towarzyszyły mu przy tym nieuniknione przemarsze wojsk radzieckich — zarówno ku Zachodowi, gdy wojna się toczyła, jak i ku Wschodowi, gdy dobiegła końca, a rozpoczął się okres realizacji odszkodowań.

3.

Odbudowa i przebudowa gospodarki narodowej wymaga nie tylko tworzywa, lecz również — jeśli nie przede wszystkim — tworzących.

... polityka i sztuka — są to dziedziny tak bliskie sobie i tak przenikające się nawzajem, że jest zasadniczym błędem, jeżeli te dwa światy, tak ściśle z sobą związane, nie rozumieją się, jeden nie uczy się od drugiego, jeden nie służy wprost drugiemu.”

Edward Benes

TREŚĆ NUMERU:

KAZIMIERZ SOKOŁOWSKI —

GOSPODARKA ODBUDOWY

STANISŁAW SRENIOWSKI —

NAJNOWSZE DZIEJE CHŁOPÓW
W POLSCE 1918 — 1946 (II)

PIOTR BOROWY —

W JUGOSŁAWII

PAWEŁ HERTZ

UCIECZKA Z KRAINY LAMBERTÓW

JAN KOTT —

STOSUNKI KULTURALNE POLSKO - FRANCUSKIE

JOHN BERTLOW MARTIN —

PIERWSZE POWOJENNE LATO
MIASTA MUNCIE

H. E. MICHAŁSKI —

STANISŁAW RYSZARD DOBROWOLSKI:
„PIÓRO NA WICHRZE”

KAZIMIERZ BRANDYS —

„KOBIETY Z LIMBACH”

STEFAN OTWINOWSKI —

W KRAKOWIE

PRZEGLĄD PRASY

NOTY

RYSUNKI:

OLGA SIEMASZKOWA
KAJETAN SOSNOWSKI

Wojna i okupacja niemiecka w Polsce wyhodowały niejako nowy typ Polaka. Powstał w ogóle — jak chcą jedni, powstał odrębny — jak chcą inni — polski homo economicus. Przedsiębiorczy, sprytny, bez skrupułów, bezwzględny, elastyczny, skłonny do kantów, niegadzający złodziejstwem i szabrem, nieposłuszny prawu, wierzący tylko w siebie i w magiczną siłę pieniądza, egoistyczny, antyspołowy, uparty, zdemoralizowany konsekwencjami głodu towarowego, przeto raz płochliwy, kiedy Indziej łapczywy, a nawet nienasycony w swym apetycie, dyktant, niedokładny, powierzchniowy — i na pewno bez większych kapitałów, choć żyjący „na szerokiej stopie”, podtrzymujący najgorsze pod tym względem tradycje epoki szlacheckiej. Polski burżua, polski mieszczanin poczuł w sobie dużą siłę ekonomiczną i urabia sobie wielki świat zewnętrzny na modłę i podobieństwo swego małego światka wewnętrznego. Stąd jego opozycyjny, a co najmniej przekorny stosunek do państwa ludowego.

Obok neo-mieszczanstwa nowy, tworzący się dopiero model wsi polskiej. W wojnie i gospodarce wojennej wieś polska, chociaż trapiąca i prześladowana przez okupanta, wzmocniła się niesłychanie. „Pamiętniki chłopów” z lat kryzysowych można dzisiaj czytać jak bajki o żelaznym wilku. Nie zastąpiono wprawdzie drewnianych chłup murewanymi domami, niewiele przybyło racjonalnych zabudowań gospodarskich, ale wzrósł wiejski standard of life, podębiła się i poszerzyła konsumpcja wsi, wzmogło się poczucie niezależności od niedostępnego w gruncie rzeczy miasta.

Sielankę tę zmącił dekret PKWN o reformie rolnej. Zmącił ją, rewolucjonizując ekonomiczny, społeczny i światopoglądowy układ stosunków wiejskich. Nie ruszając chłopkiego standardu of life, dekret ten zakończył epokę szlachecką, usunął z widnokręgu życia społecznego potęgę gospodarczą i polityczną ziemiaństwa oraz podłoże społeczne na wół feudalnej ideologii ziemian-skiej, która tak fatalnie ciążyła nad Pol-

*) Anglicy mówili, że gdzie jest trzech Polaków, tam na pewno jest gazeta. Można to brać za powiedzenie ironiczne. Trudno jednak zaprzeczyć, że do wydawania gazety potrzeba zespołu i organizacji, której przejawem jest m.in. działalność wydawnicza w celu oddziaływania na środowisko i organizowania go.

**) Dla kontrastu podaje, że handel obliczył swoje straty w wysokości 3,5 miliardów złotych przedwojennych, a straty miasta i mieszkańców Warszawy — szacowane są na 4—5 miliardów złotych przedwojennych.

ską — stworzył państwowe i społeczne ośrodki kultury rolnej, rzucił podwaliny pod samodzielną a wszechstronną budowę, postawił wieś wobec nowych prądów i konieczności, wypchnął dobre kilka milionów „zbędnych” ze wsi do miasta, z rolnictwa, gdzie przeszkadzali, do przemysłu i handlu, wskazał nowe tereny pod emigrację wewnętrzną, przysunął chłopu państwo i jego sprawy.

Polska, powstająca z ruin, ma więc do czynienia z zupełnie innym człowiekiem, aniżeli ten, który wyruszył na wojnę 1939 r. Wszystko, co się robi od końca 1944 czy początku 1945 r., bazuje się na odmiennej mentalności. Polakość nie wywiera koziółka, raczej — wzbogaciła się. Cechy, tkwiące w nas, utrudniają pracę odbudowy, przeciwstawiają się planom, sprzyjają anarchii. Ale jednocześnie ożywiają naszą twórczość, aktywizują naszą postawę wobec życia, przyspieszają — wbrew pozorom — procesy gospodarcze.

Olbrzymie przemiany strukturalne przebiegają z mniejszym wysiłkiem, aniżeli to obserwowano po pierwszej wojnie światowej. Wówczas dziedzina gospodarcza była dla ogółu Polaków prawdziwie nieznajomą kartą. Wówczas każdy krok był krokiem po omacku. Od tej epoki minęło lat z górą 20, dostaliśmy „szkołę” wojny i okupacji, rewolucja, zwana łagodną, wydobyla na wierzch ukryte talenty i siły, a chociaż każdy początkujący popełnia omyłki, startuje on z wyższego poziomu i dlatego metoda prób i błędów, wynikająca z potwornych strat wojennych, nie jest tak szkodliwa, jakby to się wydawało na pierwszy rzut oka.

4.

Z całą pewnością doniosłą rolę odegrała planowość i co ważniejsze — konsekwencja działania ogólnego. Rząd od pierwszej chwili wiedział, czego chce, czego się mo-

że spodziewać, z czyn się powinien liczyć, a co ma dlań mniejsze znaczenie. Rząd zdawał sobie sprawę zarówno z ogromu zniszczeń, jak i ze skutków przewrotu politycznego i socjalnego, który może się stać nie narzędziem śmierci, lecz drożdżami rozwoju zniekształconego przez tyle lat narodu i zapóźnionego w swym rozwoju gospodarstwa narodowego.

Posunięcia i dyspozycje rządu zrazu „lubeckiego”, z kolei Jedności Narodowej szły po następującej linii rozumowania: najpierw trzeba dać ludziom żyć, aby mogli pracować, produkować i odbudowywać gospodarkę własną i zbiorową. Żyć — to znaczy jeść, na drugim planie odłożyć się, na trzecim mieszkać po ludzku; zarazem mieć możliwość poruszania się i przemieszczania, zwłaszcza żywności. Stąd olbrzymi akcent, położony od pierwszej chwili na aprowizację miejskiej ludności produkcyjnej, stąd blisko 40-procentowy udział żywności w imporcie unrowskim (łącznie z odzieżą i obuwiem ok. 55 proc.), stąd — w pierwszym okresie — finansowanie spożycia przez Narodowy Bank Polski, dzięki czemu udało się szybko uruchomić to wszystko, co uruchomić się dawało, stąd odbudowa komunikacji.

Ponieważ obowiązywały plan i konsekwencja, proces regeneracji gospodarstwa narodowego odbywał się milowymi krokami. A nie chodzi tutaj o liczby wskaźnikowe, bo te wykażą bez trudu ostre tempo rozwoju, skoro zaczynało się niemal od zera. Momentem decydującym jest stosunek do produkcji i obrotu przed wojną. Porównanie dokonane lat 1945/46 z osiągnięciami roku pokoju i „prosperity” (1937 wzgl. 1938) jest najzupełniej uzasadnione.

W poniższym zestawieniu podajemy trzy przeciętne miesiące: a — przeciętną produkcję w 1937 wzgl. 1938 r., b — w IV kwartale 1945 r., c — w II kwartale 1946 r.

	miara	a	b	c
Węgiel kamienny	tys. ton	3.170	2.970	4.140
Ruda żelazna	„ „	72	21	42
Surówka żelazna	„ „	51	38	63
Stal	„ „	122	77	100
Wyroby walcowane	„ „	98	51	66
Ropa naftowa	„ „	42	9	10
Nafta	„ „	12	3	5
Benzyna	„ „	12	1	1
Obrabiarki	sztuki	375	58	126
Lokomotywy	„	2	12	11
Wagony	„	33	26	528
Przędza	tys. ton	12	3	1
Tkaniny bawełniane	„ „	4.290	1.709	3.226
Tkaniny wełniane	„ „	1.742	661	1.193
Skóra twarda	„ „	1.967	164	375
Skóra wierzchnia	tys. m ²	293	77	76
Obuwie skórzane (fabr.)	tys. par	233	148	236
Mydło	t	4.617	110	603
Barwniki	„	167	57	144
Cement	tys. ton	107	40	156
Szkło tafłowe	„ „	2	3	4
Papier i tektura	„ „	20	7	15
Produkcja prądu	mil. kWh	200	267	275

Można powyższe zmiany wyrazić jeszcze inaczej: porównując obroty 1946 r. (na podstawie 3 kwartałów), wyrażone wg cen 1937 r., z obrotami tegoż 1937 r. Okaże się wówczas co następuje (w milionach zł):

	1937 r.	1946 r.
przemysł hutniczy	622	1.053
„ metalowy	564	560
„ elektrotechniczny	181	80
„ chemiczny	971	665
„ włókienniczy	1.260	987
„ skórzany	161	119
„ papierniczy	196	265
„ cukrowniczy	227	165
„ drzewny	349	40

Sceptyczny krytyk, przyglądając się powyższym liczbom, zapyta: a gdzie tu postęp? Przecież produkcja 1946 r. przeważnie jest niższa od produkcji przedwojennej. Z całą pewnością tak, bo — inaczej być nie może. Nie może, skoro mamy za sobą 6 lat potwornych zniszczeń w ludziach i kapitale, skoro przesunęliśmy państwo ze wschodu ku zachodowi, skoro dokonaliśmy repatriacji milionowych mas z Rosji i Niemiec, skoro usunęliśmy ok. miliona Niemców, skoro przebudowaliśmy ustrój rolny, skoro dokonaliśmy uspołecznienia wielkiego i średniego przemysłu, banków itd., skoro mamy rzuć pod nogi kłody, o jakich się nie śniło w spokojnych latach 1937/38, etc. Ważne jest co innego: tempo, w jakim się odbudowujemy.

Wystarczy tylko rzucić okiem na produk-

cję w IV kwartale ub. r. i III kwartale br. Jakaż olbrzymia różnica! A przecież IV kwartał ub. r. nie potrzebuje porównania z II czy III. Powtórze zaś — i to jeszcze bardziej, znamienne — liczby 1937 czy 1938 r. odnoszą się do Polski o 32 czy 33, a nie do Polski o 23 czy 24 milionach mieszkańców. Innymi słowy, aby mieć dokładny obraz, trzeba osiągnąć przedwojenne pomniejszyć o 1/4 lub — co na jedno wychodzi — wyniki obecne powiększyć o 1/3. Łatwo wtedy stwierdzimy, że produkcja na 4 mieszkańca w III kwartale 1946 r. w odsetkach takieżce przeciętnej przedwojennej stanowiła:

węgiel kamienny	—	173
ruda żelazna	—	78
surówka żelaza	—	165
stal	—	109
wyroby walcowane	—	90
ropa naftowa	—	32
nafta	—	33
benzyna	—	11
obrabiarki	—	45
wagony	—	2.133
przędza	—	78
tkaniny bawełniane	—	100
„ wełniane	—	92
skóra twarda	—	25
„ wierzchnia	—	34
obuwie skórz. (fabr.)	—	134
mydło	—	17
barwniki	—	115
cement	—	195
papier i tektura	—	100
produkcja prądu	—	183

I teraz pojmujemy sens nacjonalizacji — najpierw dokonywanej via facti, następnie zaś uwieńczonej ustawą z 3 stycznia 1946 roku. Wielkie i średnie zakłady przemysłowe ruszyłyby znacznie później i wolniej, gdyby nie ich upaństwowienie lub uspołecznienie. Pozbawione zazwyczaj maszyn, urządzeń i surowców, prądu i opału, hal fabrycznych i składów, fachowców i kapitałów — zakłady te robotnicy sami brali w swoje ręce, zabezpieczając od rabunku i szabru, który stał się plagą, nieznaną po pierwszej wojnie światowej, a wzbogacił tzw. warstwę pośrednią, żyjącą z handlu, w dużym zaś stopniu z paserstwa.

Robotnikom zawdzięczamy podjęcie produkcji w najgorszych, często jeszcze wojennych warunkach. Ze tu i ówdzie znacionalizowano niepotrzebnie przedsiębiorstwo małe lub średnie, ale prowadzone dobrze przez prywatnego przedsiębiorcę, że tu i tam nacjonalizacja, zwana początkowo sekwestrem, była parawanem dla celów osobistych — to już sprawa inna, niewspółmiernie jednak drobna w porównaniu z istotą problemu, któremu na imię: utrzymanie lub odbudowa produkcji przemysłowej.

Krytyczny sceptyk zauważy jednak, że odbudowę sfinansowano drukiem banknotów. Odpowiedź jest dwójaka: primo — po tamtej wojnie tylko maszyna drukarska pozwoliła ówczesnym ministrom skarbu sfinansować odbudowę przemysłu prywatnego, secundo — wówczas doprowadziło to do dewaluacji marki polskiej i niepostrzeżonej zwyczajnie cen. Istotnie — obieg banknotów, wynoszący z końcem ub. roku 21 miliardów złotych wzrósł z końcem sierpnia br. do 44 miliardów złotych, ale temu dwukrotnemu wzrostowi emisji towarzyszyło — jak się przekonałszy podwojenie produkcji podstawowych artykułów przemysłowych, znaczne zwiększenie krajowej produkcji rolnej, silny wzrost obrotów i przewozów krajowych i zagranicznych etc. To jedno, a drugie: o ile po pierwszej wojnie światowej Skarb Państwa przez 3 lata pokojowe (1921—1923) dosłownie nie wylażył z kas ówczesnej Polskiej Krajowej Kasy Pożyczkowej i rozszalał jej aktywa, o tyle obecnie zadłużenie Skarbu Państwa w centralnej instytucji emisyjnej stanowi tylko 1/3 jej aktywów. Mało tego: od stycznia br. Skarb Państwa — co stwierdził ob. Droźniak, prezes Narodowego Banku Polskiego na pierwszym posiedzeniu Rady Banku — nie zadłuża się już więcej w Narodowym Banku Polskim; mało tego — na jego koncie figurowała do niedawna kwota 21 miliardów zł, która ostatnio zmalała o 1 miliard. Albowiem — że zacytujemy prezesa Droźniaka — „celem polityki pieniężnej w ubiegłym okresie było dostarczenie Państwu i gospodarstwu środków pieniężnych na zaspokojenie potrzeb, na odbudowę i rozkręcenie produkcji z takim wyrachowaniem, aby utrzymać możliwie niezmienną wartość pieniądza... Polityka ta nie była ani inflacyjną, ani deflacyjną, lecz polityką harmonizowania obiegu, produkcji, płac i cen”.

Nie jesteśmy megalomanami, nie twierdzimy więc, że wszystko zawdzięczamy tylko sobie. Świat przyszedł nam z pomocą i to nie mała. Związek Radziecki, chociaż poważnie dotknięty skutkami wojny, dostarczył Polsce żywności, głównie pod postacią maki. Zdecydowanie olbrzymią rolę odegrała UNRRA, której globalna — jeszcze nie wykonana w całości — pomoc (ca 470 mil. dol.) odpowiada — po uwzględnieniu siły nabywczej dolara — kwocie ok. 1,5 miliarda złotych przedwojennych; dla porównania dodamy, że budżet państwa polskiego w 1938/39 r. zamykał się kwotą 2,5 miliarda złotych, a wpływy z portyków zagranicznych w latach 1930—38 wyniosły 1,3 miliarda zł. Szczególnie doniosłą rolę odegrała UNRRA na odcinku żywności, której dostarczyła do końca września br. ok. 500.000 ton (w tym zboża i jego przetworów ponad 200.000 ton, mięsa i tłuszczów ponad 100.000 ton).

Myliłby się jednak (a niejeden nadal myli się... świadomie), kto by przypuszczał, że utrzymujemy się tylko dzięki światowej filantropii. Zaprzeczając temu obrotowi handlu zagranicznego. Od pierwszej chwili wyzwolenia państwa i uruchomienia produkcji podjęty został eksport — nie w charakterze daniny na rzecz Rosji, jak twierdził szepota na propaganda, ale dla uzyskania niezbędnych towarów, a więc na zasadzie prostej wymiany towarowej. Związek Radziecki, w pierwszej chwili jedyny odbiorca, obecnie

jest najpoważniejszym, acz nie wyłącznym, odbiorcą i — dostawcą, obok niego zaś figuruje 10 państw europejskich, które przeważnie biorą od nas węgiel, dostarczają zaś nam żywności (Związek Radziecki — zboże, kraje skandynawskie — śledzie, ryby, tłuszcze; Węgry i Rumunia — owoce i wina), produkty naftowe (Zw. Radziecki i Węgry) surowce włókiennicze (Zw. Radziecki), rudę żelazną (Szwecja), tytoń (Jugosławia), maszyny, aparaty i przyrządy (Szwecja) itd. W 1945 r. przywóz nasz sięgał 34 mil. dolarów, wywóz zaś 41 mil. dolarów. Na wywóz tak zeszłoroczny, jak i tegoroczny składają się — prócz węgla — przeważnie cement, tkaniny, cynk, szkło, soda i sól.

I dlatego, że rozwija się produkcja i obrót, w Polsce nie ma faktycznego bezrobocia. Sektor uspołeczniony zatrudnia obecnie 2,5 miliona ludzi, z czego 176 tys. rolnictwo i leśnictwo, 889 tys. przemysł, 20 tys. monopole, 97 tys. odbudowa, 2.465 tys. komunikacja, transport i łączność, 431 tys. służba publiczna, 24 tys. lecznictwo i ubezpieczenia, 106 tys. szkolnictwo, 26 tys. propaganda, 155 tys. spółdzielczość, 11 tys. banki, 18 tys. obrona narodowa (stała) i 97 tys. zakłady użyteczności publicznej. Dla porównania z okresem przedwojennym wystarczy stwierdzić, że przemysł węglowy sensu stricto zatrudnia dzisiaj ok. 180 tys. ludzi wobec 81 tys. w 1938 r., przemysł paliw płynnych 15 tys. wobec 11 tys., hutnictwo 77 tys. wobec 52 tys., metalowy 77 tys. wobec 173 tys., elektrotechniczny 11 tys. wobec 21 tys., chemiczny 27 tys. wobec 64 tys., cukrowniczy 32 tys. wobec 19 tys., włókienniczy 150 tys. wobec 166 tys., skórzany 14 tys. wobec 11 tys., papierniczy 16 tys. wobec 19 tys. itd. Z porównań tych łatwo wywnioskować, że: a) jedne przemysły rozwinięły się silnie, drugie — słabiej (chemiczny, metalowy, elektrotechniczny); b) wydajność na 1 pracownika znacznie zmalała, co jest wynikiem gorszego odżywiania i niedostatku właściwych urządzeń (zwłaszcza w górnictwie i częściowo hutnictwie); c) rola poszczególnych przemysłów zmieniła się na skutek czy to zniszczeń wojennych, czy to ważności danego przemysłu w dziele odbudowy, czy też z innych względów; d) przesunął się — przynajmniej chwilowo — punkt ciężkości zatrudnienia z jednych dziedzin do drugich, przynajmniej w sektorze uspołecznionym.

5.

Gdy piszę te słowa, mija półtora roku od zakończenia działań wojennych, półtora roku odbudowy.

Nie czas jeszcze na bilansowanie wyników. Są one pokaźne w liczbach bezwzględnych, a jeszcze większe na tle porównań z tak niedawną epoką wojny i okupacji, ponieważ zaś z okresem przedwojennym.

Można jednak i należy podkreślić aktywa i passywa samego procesu odbudowy. Do aktywów zaliczyć wypada przede wszystkim fakt, iż wojna zastała naszą gospodarkę na poziomie technicznie wyższym, aniżeli w 1918 r. Dzięki temu społeczeństwo polskie było bardziej przygotowane do dzieła odbudowy, niż to miało miejsce przed 27—28 laty. Niesłychany ucisk ze strony okupanta wyzwolił również dynamiczną wolę szerokich mas, pragnących pracować w wolnej, niepodległej i demokratycznej Polsce.

Ponadto — skorzystaliśmy z doświadczeń nie tylko własnych, ale i obcych. Największy sceptycyzm planowej gospodarki socjalistycznej musieli się do niej przekonać, widząc, jak realizujący tę gospodarkę Związek Radziecki w dużej mierze dzięki niej wytrzymał furie ataków hitlerowskich i przeszedł do zwycięskiego przeciwnatarcia.

Dalej — związanie rzesz ludowych z własnym państwem zaoszczędziło temu ostatniemu tarć i walk o udział w dochodzie społecznym, do czego wcale nie pomogły reforma rolna i uspołecznienie przemysłu i finansów. W 1919 r. dokonano w Polsce również szeregu zasadniczych reform socjalnych, ale zabrakło wówczas i potem rządów ludowych, które by udaremniły sabotaż tych reform, a nawet jawną z nimi walkę. Następnie — przejęliśmy po Niemcach niemal cały kapitał, ulokowany tak w urządzeniach produkcyjnych, jak i w towarach, które ułatwiły start wygłodzonej polskiej gospodarce. Wreszcie — dzięki sojuszi ze Związkiem Radzieckim uzyskaliśmy bazę surowcową dla naszego przemysłu lekkiego i ciężkiego, a pomoc unrowska

uratowała nas od katastrofy żywnościowej i zasilila nasze rolnictwo, wycieńczone szczególnie na odcinku hodowlanym.

Pasywa były innego rodzaju. Primo — potworne zniszczenia i wymordowanie 6 milionów ludzi. Secundo — czynienie krajowi wszelkich możliwych utrudnień i szyskan ze strony wszelakich „Londynów”. Tertio — demoralizacja, którą zawdzięczamy pośrednio okupacji i jej metodom, demoralizacja, przenikająca wszystkie warstwy, grupy i klasy, panosząca się i harda, eksploatująca niemożność zrównania się w przeciągu półtora roku z krajami Zachodu, a w każdym razie wyrównania podaży i popytu. Quarto — zaszewiaczka się i o „Londyn”, i o demoralizację, akcja band leśnych, paraliżująca normalny tok odbudowy w sposób i na skalę, jakich nie znano po pierwszej wojnie światowej. Quinto — pewne błędy wewnętrzne, do których można zaliczyć choćby fakt, iż przy braku pełnych środków poszliśmy na uruchomienie wszystkich odcinków życia, chcąc jednocześnie i równolegle zaspokoić potrzeby państwa, samorządu, obrony narodowej, bezpieczeństwa wewnętrznego, oświaty, kultury, sportu, młodzieży, zdrowia publicznego, opieki społecznej etc., etc., gdy prawdziwiej z punktu widzenia gospodarczego byłoby rozwiązywać zagadnienia kolejno, w miarę rozwoju gospodarczych sił kraju.

Za wcześnie jeszcze oglądać się za siebie. Wolno jednak rzucić okiem na t.zw. liczyby kontrolne, aby sprawdzić, gdzie są błędy, których na przyszłość należy unikać. Wolno również zestawiać plusy i minusy okoliczności, w jakich podjęto dzieło odbudowy, co pozwoli nam stwierdzić, że minusów czyli przeszkód jest więcej, aniżeli plusów. Tym większa zasługa linii generalnej, po której kroczyliśmy od półtora roku, a właściwie od przeszło 2-cho lat, od chwili, gdy rząd polski stanął na ziemi polskiej.

Od półtora roku wypracowujemy — często sami o tym nie wiedząc — własny polski model gospodarstwa narodowego. Złotymi słowami powiedzą, że Polacy zawsze byli megalomańsko nastawieni lub, że zawsze dążyli do pogodzenia ognia z wodą: inicjatywy prywatnej z gospodarką społeczną. Człowiek nieuprzedzony dojrzy wszak, że w tym wszystkim realizm: kraj zniszczony, bez kapitałów, położony geograficznie nader niekorzystnie, musiał, chcąc nie chcąc, czerpać ze Wschodu i Zachodu, wykorzystując dobre strony jednych i drugich form i metod gospodarczych. Reforma rolna wzmacnia własność indywidualną, niekiedy nawet kosztem sprawności i pewności zaopatrzenia miast w żywność; uspołecznienie przemysłu usuwa wpływ monopolistów prywatno-kapitalistycznych, zwłaszcza zagranicznych, idzie na koncentrację, czy to ze względów organizacyjnych, czy też technicznych i pozwala stosować politykę pełnego zatrudnienia, choć tu i ówdzie kierownictwo za mało pamięta, że chodzi o przedsiębiorstwo państwowe, a nie o państwo przedsiębiorców.

Kiedy wiosną br. przywieziono do USA eksponaty wystawy „Warszawa oskarża”, Amerykanie najpierw się pytali, kogo oskarża, a później kręcili nosami na tytuł, który mieści w sobie żal, cierpienie itp. Gdy tytuł ten zmieniono na: „Warszawa się odbudowuje”, wystawa znalazła powszechne uznanie i zrozumienie. Polska, która się odbudowuje, która żyje, rozwija się i organizuje swój byt niepodległy, taka Polska zjednywa szacunek obcych i przywiązanie swych własnych obywateli.

Kazimierz Sokołowski

HOMO ECONOMICUS



Jeśli chodzi o mnie, jestem zaopatrzony — reszta jest mi obojętna.
Litografia Daumiera (Charivari)

STANISŁAW ŚRENIOWSKI

Najnowsze dzieje chłopów w Polsce *)

1918 — 1945

Z odzyskaniem niepodległości w 1918 roku sprawa chłopska stała się w Polsce jednym z najważniejszych zagadnień. Demokratyczna ordynacja wyborcza umożliwiła wejście do konstytuancyjnej liczby chłopów, zgrupowanych w kilku stronnictwach, w Piastów, w Wyzwoleniu i w drobniejszych. Konstytucja z 1921 r. zapewniała wszystkim równe prawa, ale na wsi równość musiała być iluzją, póki istniała gospodarcza supremacja wielkiej własności nad chłopem, w przeważnej liczbie małorolnym, karłowatym lub bezrolnym. Konieczne stało się wyrównanie gospodarze jego szans życiowych, a zarazem zmniejszenie zbyt szerokiego wachlarza społecznego od milionów bezrolnych i bezrobotnych do potentatów ziemskich na tysiącach hektarów. W Rosji dokonana się już wielka rewolucja bolszewicka, socjalistyczne były Niemcy, wszędzie wokół Polski przeprowadzano szybką i owocną reformę rolną. Żywotne interesy chłopskie musiały być jakoś uwzględnione.

Sfery ziemiańskie chcąc uprzedzić niemiłe wypadki, zaofiarowały w 1919 roku na parcelację kilkadziesiąt tysięcy hektarów użytków rolnych po cenach przedwojennych i myślały, że zapala tym naród do walki o kresy wschodnie, z których przyrzekano po ich odzyskaniu podobną ofiarę.

Na terenie Sejmu ścierały się różne projekty reformy rolnej, sprawę przyspieszyły wypadki wojenne. W obliczu niepowodzeń militarnych i inwazji wojsk sowieckich aż pod Warszawę, uchwalili Sejm 15 lipca 1920 r. ustawę o reformie rolnej, upoważniającą rząd do stopniowego wykupu ziemi od wielkich właścicieli ziemskich i tworzenia z niej nowych gospodarstw chłopskich, wzgl. uzupełniania karłowatych i uzdrowienia w ten sposób struktury wsi przez zagospodarowywanie bezrolnych i małorolnych. Właściciel wielkiej własności mógł zachować dla siebie 150 hektarów, w pewnych razach 300 ha, w okolicach uprzemysłowionych 60 ha.

Chwila niebezpieczeństwa sprawiła, że powołany został do życia rząd zjednoczenia narodowego z chłopem Witossem na czele. Były to akty doraźnej demonstracji, szło o skupienie wszystkich sił, a także o zmniejszenie atrakcyjności idei demokracji społecznej, którą niosła do Polski armia bolszewicka.

Kiedy niebezpieczeństwo minęło, minęła i chęć reform. Nie była ona szczerą. Wydano wprawdzie ustawę o wykonaniu reformy, załatwiono też sprawę częściowego wywłaszczenia dóbr kościelnych drogą konkordatu ze Stolicą Apostolską, ale akcja parcelacyjna nie nabrała rozmachu, co roku mniej ziemi uległo parcelacji, do 1925 r. nie rozparcelowano nawet jednego miliona ha, tzn. nawet nie trzecią część tego, co można było rozparcelować na podstawie ustawy 1920 r. a w stosunku do całkowitego obszaru wielkiej własności stanowiło to zaledwie 5 proc., czyli 1/20 możliwości parcelacyjnych. Ta reforma nie mogła rozładować zbierającej burzy społecznej, nie zmieniła ustroju gospodarczego wsi, nie usuwała bezrobocia, nie wystarczała.

Ale chłop mógł przynajmniej w pierwszym pięcioleciu niepodległości wyzywać się politycznie, jego przedstawiciele stanowili poważną pozycję w Sejmie i w radzie, chłop mógł się spodziewać, mógł oczekiwać i wypatrywać dalszych reform i poprawy swego bytu. W rządach demokratycznych tego czasu kryło się jednakże zbyt wielkie niebezpieczeństwo dla warstw, które nie chciały wcale zejść z areny. Postanowiły one bronić swej egzystencji i władzy za wszelką cenę. Brak jednolitego frontu stronnictw ludowych niał im roz-

grywkę. Piast, stronnictwo chłopów gospodarzy pod wodzą Witosza zawarł w 1923 r. układem lancorońskim sojusz z prawicą przeciwko socjalistom, obok których stało drugie stronnictwo chłopskie, radykalizujące „Wyzwolenie”.

Przewrót majowy Piłsudskiego w 1926 r. przekreślił rzeczywisty udział społeczeństwa w rządach, w tym przede wszystkim udział chłopów. Piłsudski, bohater kampanii kijowskiej z 1920 r., próbujący odzyskać kraj latyfundiów szlacheckich — Ukrainę, po 1926 r. nawiązał już oficjalnie współpracę z arystokracją magnacką, a rezultatem tego nie mogło być chętnie stanowisko antokratycznego rządu w sprawie demokratycznej przebudowy ustroju wsi. Ograniczono kontyngent ziemi, przeznaczonej na parcelację, umożliwiono wyłączenie spod niej obszarów w ilości do 1/5 całego kontyngentu pierwotnego, a 1/3 pozostałego jeszcze do rozparcelowania, według norm ustawy o reformie. W ciągu najbliższych 5 lat znowu rozparcelowano mniej niż 1/20 obszaru wielkiej własności, a od 1930 r. dalsza parcelacja została niemal zupełnie wstrzymana. Równocześnie zniszczony został samorząd wsi. Poddano go pod kierownictwo starostów i jak pisze Bujak, stał się on terenem zupełnej samowoli administracji państwowej.

Burza musiała nastąpić. W utworzonym 1930 r. bloku antyrządowym, tzw. „Centrolewie” wzięło udział czterech posłów Stronnictwa Ludowego z Witossem na czele. Odbyto zjazd w Krakowie. Zaniepokojony rząd uwieził uczestników, rozpoczął się proces brzeski.

Nędza wsi była tymczasem coraz większa. Rozpiętość między cenami produktów rolnych i artykułów przemysłowych, niezbędnych dla rolnika oraz wysokością podatków sprawiała, że nawet kilkunastomorgowy gospodarz żywił się wyłącznie kartoflami, a nie mógł całym dochodem pokryć podatków musiał wyprowadzać na targ kolejno krowę, świnie i t.d. Opowiada o tym między innymi Świetochowski na łamach miesięcznika „Wies i państwo”.

W tych warunkach o wprowadzeniu maszyn rolniczych w gospodarstwach chłopskich nie było najmniejszej mowy, kultura rolna wsi nie mogła się podnieść, wydajność zbóż była w porównaniu z osiągnięciami w innych krajach zastraszająco niska.

Równocześnie wzrastało uświadomienie społeczne chłopów. Żywa była działalność Stronnictwa Ludowego, czynne były Związki Młodzieży Ludowej, wieś się radykalizowała, wieś nabierała poczucia siły. Powstały uniwersytety ludowe, pierwszy w Szybach, potem przeniesiony do Gaci za nim inne. Wychodziło z nich po kilkudziesięciu i kilkuset działaczy chłopskich. Był to własny wysiłek wsi, we wrogim dla wsi ustroju państwa.

Burza wybuchła w 1932 r. Pierwsze strajki chłopskie wywołane zostały wprowadzeniem opłat wjazdowych do miast. W 1933 miały miejsce krwawe zażęcia chłopskie w ropezyckim, rzeszowskim, limanowskim, krakowskim, na tle spraw o wyrąb lasów, z powodu płac robotników folwarcznych, przy próbach aresztowania przywódców chłopskich. Rząd odpowiedział na to wielką pacyfikacją wsi w Małopolsce środkowej i zachodniej, także w powiatach, gdzie żadnych zażęć nie było. Policja stosownie do otrzymanych instrukcji i wyszkolenia urządziła ponure sceny katowania chłopów, bicia po twarzy, smażenia pałką gumową. Komisarze policji kazali się całować po rękach, terroryzowali inscenizacją masowych rozstrzeliwań i t.d.

Równocześnie z tym szła akcja ustawodawcza: wprowadzony został nowy ustroj, zbudowany na koncepcji gminy zbiorowej. Ustroj ten wzmógł biurokra-

cję, osłabił kontakt władz samorządu z terenem, utrudnił korzystanie z usług samorządu przez ludność większości wsi, t.j. tych, w których nie było siedziby gminy, sprowadzał do fikcji uczestnictwo ogółu w decyzjach zbiorowych gminy. Wybory do samorządu wiejskiego w 1933 r. odbyły się pod naciskiem ze strony starostów, a gdzie to nie wystarczyło, tam po prostu wyniki sfałszowano. Życie wsi było sparaliżowane.

Nie trzeba także wsi oświaty, ciemny chłop jest bardziej potulny, łatwiej nim rządzić. W 1928 r. znajdowało się 4 proc. dzieci w wieku szkolnym poza szkołą, w r. 1935 już 11 proc., a analfabetyzm dosięgnął cyfry pięciu i pół miliona dorosłych i pół miliona młodzieży. Polowa uczących się dzieci mogła chodzić tylko do szkółek jedno i dwuklasowych, a aby stało się zadość obowiązkowi 7-mio oddziałowego wykształcenia, musieli przesiadywać w tej samej klasie przez kilka lat; zamiast uczyć się — obojętniały.

Nie była to szkoła twórcza, szkoła ta, jak stwierdza na podstawie „Pamiętników Chłopskich” i analizy podręczników dla wsi Chłopskich, wychowywała młodzież chłopską w pogardzie dla chłopstwa, a głównym środkiem wychowawczym było bicie, przybierające nieraz, jak wskazują Pamiętniki, rozmiary sadystycznych katowań dzieci chłopskich. Upiór niewoli chłopskiej czasów feudalizmu dzierżył rządy nad wsią. Chłop miał być siłą roboczą, miał żywić i bronić, ale nie wolno mu było myśleć, bo wówczas mógłby wymyślić... rewolucję.

Państwo i kościół czuwały, aby był potulny. Kler prowadził zjadłą walkę przeciwko wszelkiemu ruchowi chłopskiemu, przeciwko Stronnictwu Ludowemu i Związkowi Młodzieży Wiejskiej „Wici”, nadużywał kazalnicy i konfesyjonału, insynuował, że program chłopski jest sprzeczny z moralnością chrześcijańską, wależył w obronie interesów własnych, jako właściciela latyfundiów, a zarazem jako głównego dotąd wychowawcy duszy chłopskiej.

Współpraca rządu i Kościoła była zupełna. Rząd konfiskował każdy niemal numer „Zielonego Sztandaru”, pisma Stronnictwa Ludowego, a Kościół propagował umiejętnie własne wydawnictwa: Przewodnik Katolicki, Rycerza Niepokalanej, kalendarze oglupiające wieś itd. Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży pod auspicjami Kościoła starało się spełać wieś frazeologią religijną, tak samo jak rządowy Siew, frazeologią państwową. Ale fakty nie dają się przesłonić słowami.

W 1935 Stronnictwo Ludowe wstrzymało się od wzięcia udziału w wyborach do sejmu, a wzięło w nim udział tylko Wyzwolenie idące od 1926 r. z obozem Piłsudskiego. W 1936 r. odbyły się manifestacje robotników miejskich we Lwowie, Krakowie, Chrzanowie i innych miastach. Rząd wysłał przeciwko nim policję. Użyto broni, były ofiary w ludziach. Za przewodem miast ruszyła i wieś polska. W czerwcu 1936 r. zorganizowana została kilkusetosobna manifestacja chłopska we wsi Nowosielce, powiatu przeworskiego, a uczestnicy jej złożyli na ręce przedstawicieli rządu, w osobie Rydza-Śmigłego, rezolucję, domagającą się demokratycznej konstytucji, sprawiedliwego wymiaru sprawiedliwości, powołania rządu zaufania mas ludowych zlikwidowania złych praktyk administracji państwowej, stwarzającej podział społeczeństwa na wyższe i gorsze klasy.

Okazało się jednak, że rząd nie jest skłonny do najmniejszej bodaj zmiany kursu. Nie darmo opierał się o własną nie demokratyczną konstytucję z 1935 r. i z niej wywodzącą się ordynację wyborczą do sejmu i senatu o konstytucyjną, pewniającą mu stanowisko antokratyczne, o ordynację wyborczą, czyniącą

*) Rozdział książki p. t. „Dzieje chłopów w Polsce”, która ukazuje się wkrótce nakładem Sp. Wyd. „Czytelnik”. Por. „Kuźnica” Nr 46.

prawa obywatelskie przywilejem elity, a sejm popychadłem rządowym.

I znowu w 1936 r. wybuchły krwawe strajki rolne w powiecie przeworskim i rudeckim pod Lwowem, a następnie krwawe również zajęcia w Hrubieszowszczyźnie, w Zamojszczyźnie, w Miechowskim i na Podhalu. Węg zabierała głoś. W niektórych okolicach wystąpiło po kilka tysięcy chłopów z wielu gromad, wznoszono barykady, byli zabici.

Procesy o te zajęcia ujawniły stosunki panujące na wsi i na folwarkach. W Przeworskim oficjalista dworski postrzelił strumieniem w plecy i w nogi trzy robotnice za to, że idąc napię się wody, zerwały kilka truskawek. W folwarkach kapituły lwowskiej płacono po 45 groszy za całodzienną robociznę, w folwarku Polskiej Akademii Umiejętności za 11-godzinny dzień pracy 60 — 80 groszy. Kiedy zaś stawki te wywołały strajk, a potem proces i wyrok korzystny dla chłopów, w konsekwencji czego Akademia musiała zawrzeć nową umowę zbiorową, administrator majątku Akademii zignorował po prostu nową taryfę, płacił robotnikom sezonowym mniej niż ona nakazywała, a upominającym się o swoje odpowiadał ironicznie, pewny własnej pozycji i moce zaplecza w całym ustroju państwowym: „Możecie reklamować do Pana Boga!”

Pan i kler siedzieli na liczących kilkakaset i kilka tysięcy hektarów majątkach, obrabianych przez chłopów za cenę kilkudziesięciu groszy dziennego wynagrodzenia, a taksy chrztów, ślubów, pogrzebów wynosiły równocześnie po

kilkadziesiąt złotych. Kościół urabiał duszę chłopską w wierze chiliastycznej, kazał modlić się i pracować, aby stać się godnym Królestwa, które przyjdzie, próbował zbagatelizować doczesną niedolę chłopską i fakty najjaskrawszej nędzy chłopów, wyrażającej się cyfrą 22 groszy jako wartości wyżywienia osoby w drobnym gospodarstwie chłopskim.

Cyfra ta oznaczała stały spadek spożycia mięsa i tłuszczów na wsi, a wzrost spożycia ziemniaków i kapusty. Za tym musiało iść zmniejszenie się energii indywidualnej u niedożywionych; niebezpieczeństwo narodowe było ogromne, nie chcieliśmy tylko o nim wiedzieć i pomyśleć.

Zeszlachconą inteligencją, jak ją siusznie nazywał Świętochowski, stała w sprawie chłopskiej na pozycjach wspólnych z ziemianstwem, a rządowe próby organizowania szlachty zagrodowej nawiązywały oficjalnie do przebrzmiałego już ustroju. „Współczesna elita — pisał w tych latach prof. Bujak — przedstawia się socjologicznie jakby kontynuacją szlachty herbowej i posiada niemal wszystkie jej cechy”. Wskazywał znamienne cechy szlachetczyzny: ton napaśnionej wyższości, żądanie uprzywilejowania grupy. U podstaw znajdowała się oczywiście sprawa najważniejsza — uprzywilejowania ekonomicznego.

Aż przyszedł rok 1939 i wojna. Najliczniejsze ofiary w ludziach ponieśli w obronie wrześniowej oczywiście chłopci. Potem okupacja niemiecka. Wyniszczała ona wieś na wszelkie sposoby. Wysyłanie na roboty do Rzeszy, aresztowa-

nia i egzekucje, pacyfikacje, palenie całych wsi z żywymi ludźmi. A obok tego kontyngenty w zbożu i bydło, świadczenia rzeczowe wsi pod postacią nieustannych podwódek, roboty pomocnicze przy frontowej, przymusowa służba młodzieży w Baudienzie i używanie jej do najohydniejszych zadań.

Wyzwoleni spod okupacji chłopci otrzymali od Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego nową reformę rolną i jej natychmiastowe wykonanie. Na terenach na wschód od Wisły już w 1944 r. na terenach bardziej na zachód, w miarę ich oswobodzenia. Wywłaszczeniu uległa cała ziemia pańska, a Sejm Rzeczypospolitej ma postanowić (jak mówi dekret) o dobrach Kościoła. Zostały utworzone gospodarstwa chłopskie po 5 ha, uzupełniono do tych rozmiarów gospodarstwa karłowate. Większe kompleksy ziemi przeznaczono dla szkół rolniczych, dla instytutów doświadczalnych i dla ośrodków hodowli — państwowych lub samorządowych.

Ziemia pańska została od razu przejęta przez nowych gospodarzy. Utworzony został Związek Samopomocy Chłopskiej, mający za zadanie współpracować z państwem w organizacji nowego życia, pomagać przy przeprowadzeniu reformy, podnosić kulturę rolną wsi, koordynować życie wsi z gospodarką całego państwa, dźwigać chłopów pod względem oświaty i dobrobytu, pomagać w indywidualnych wysiłkach poszczególnych gospodarstw.

Wskutek zmiany granic Państwa i przesunięcia obszaru polskiego na za-

chód na dawne etnograficzne ziemie polskie, uzyskał chłop polski możliwość osiedlenia się i zagospodarowania na olbrzymiej przestrzeni ziem poniemieckich, na Dolnym Śląsku, na Pomorzu Zachodnim i w b. Prusiech Wschodnich. Tam kieruje się chłopów repatriantów z dawnych i nowych ziem ZSRR, tam udaje się bezrolny i malorolny chłop z centralnej Polski. Ten nowy kraj, wysoko uprzemysłowiony, pozwala również przestawić gospodarczo Polskę z państwa agrarnego na przemysłowe, co, po uprzątnięciu głównych zniszczeń wojennych może dać dalszą szansę przebudowy wsi polskiej.

Uchwalona przez Krajową Radę Narodową nacjonalizacja wielkiego przemysłu oraz włączenie mas robotniczych poprzez instytucje Rad Zakładowych i Związków Zawodowych w funkcje gospodarzy kraju, otwierają i przed chłopem emigrującym ze wsi do fabryk, nowe perspektywy.

Czynne są dwa wielkie stronnictwa polityczne chłopskie: Stronnictwo Ludowe, związane w czasie okupacji niemieckiej, zwalczanej zbrojnie przez konspiracyjne oddziały Batalionów Chłopskich, A.K. i Armii Ludowej oraz Polskie Stronnictwo Ludowe pod prezesurą Witosa, a po jego śmierci, b. premiera polskiego rządu emigracyjnego w Londynie, Mikołajczyka. Przedstawiciele obu tych stronnictw politycznych zasiadają w Radach Narodowych lokalnych i wojewódzkich, w Krajowej Radzie Narodowej i w Rządzie.

Stanisław Śreniowski

PIOTR BOROWY

W J U G O S Ł A W I I

PRAGA, MIASTO, W KTÓRYM WIDZI SIĘ WIĘCEJ MĘŻCZYZN NIŻ KOBIET

Mając w oczach Warszawę, chodząc po Pradze czeskiej, jak po mieście nie z wojny, lecz z pogodnego snu, w którym spotkałem się z dzielnym wojakiem Szwajcem. Praga jest niezniszczona i jak dawniej piękna. Powstanie nie było tutaj tragiczne.

Na pomoc Pradze śpieszył również polski Korpus Pancerny, rozbijając Niemców pod Mielnikiem. Na dalekich jej przedmieściach stoi kadłub ciężkiego czołgu z białym orłem na kopule, ale Czesi zdają się o tym nie wiedzieć. Pamiętają natomiast jeszcze rok 1938, śmigły marsz na Zaolzie i nie przedkłada nam to zapomną.

Gościnną Czeską, nie bez dumy, pokazywała zburzony dom w śródmieściu, który Czesi, gdyby mogli, przenieśli do muzeum. Kiedy opowiadałem jej o tragedii Warszawy, przerywała mi ze współczuciem: — Wiem, przeżywałem podobne chwile. Gdy Niemcy bombardowali Pragę, musieliśmy otwierać wszystkie okna — powiedział z naiwnością. Pożegnałem ją zaraz i zwiedzałem stare uliczki Pragi, pełne uroku jak uliczki Utrilla. Były puste i ciche, zdawało się, że mieszka w nich tylko kotybołowca, który powracał z nad Weławy. Ale Czesi o tej godzinie byli na piwie, zaczytani w gazetach. Było to w przeddzień wyborów.

Praga ma doskonałe teatry, jedne z najlepszych w Europie. Widziałem w nich jednak puste widowiska. Czesi wolą po wojnie dancin i boiska, które są przepelnione. Inteligentny prażanin usprawiedliwiał to znużeniem wojennym, potrzebą prostych rozrywk i wzruszeń. — To samo pan widzi dziś w Nowym Jorku, czy Paryżu. Świat chce krótkich sukienek i zapomnienia. Ma już dość wojny, bohaterstwa i idealizmu — powiedział z elegancją. Chciałem go zapytać, czy setne przedstawienie Szwajka, jakie dawał Burian w Pradze, było też reakcją na ostatnią wojnę? Zastanowiłem się jednak: może by go to ubodło. Bądź co bądź, widziało się na ulicach dużo rozbawionych i dobrze ubranych mężczyzn, których było tyle, co kobiet, jeżeli nie więcej. Nam Polakom, jak i Jugosłowianom, nasuwa to pewne refleksje. Co oni robili podczas okupacji?

Uwagi te dotyczą na ogół mieszczaństwa. Widziałem je w przeddzień wyborów. Nad Weławą, wokół plakatów i numerów partii politycznych płonęły iluminacje, nie u-

stępujące w pomysłowości reklamom obuwia, czy tygodnia miłosierdzia. Nigdzie nie widziałem awantury, ani namiętnych wieców, chociaż szukałem ich. Partie przed głosowaniem zawarły pomiędzy sobą układ wzajemnego poszanowania i wybory odbyły się w spokoju. Przydałoby się Polakom aby wzięli sobie dobry przykład z Czechów, którzy mogą nas uczyć rozsądku i zdyscyplinowania.

Wybory przyniosły zwycięstwo partiom lewicowym i powinny wywołać w kraju zmianę, zwłaszcza w stosunkach czesko-polskich. Czesi nie prowadzili dotąd jasnej polityki zagranicznej. Straciliśmy wiele na zaufaniu i sympatii świata, które w okresie wojny i bezpośrednio po jej zakończeniu było dość duże.

Autor artykułu sądzi, że winni są Czesi, którzy prowadzą niejasną politykę zagraniczną. Czechosłowacja, wg. niego, powinna już wyzbyć się myśli, że jest czymś w rodzaju mostu łączącego wschód z zachodem. Co do nas, myślimy podobnie. Czesi mogliby już dawno porzucić drogi Ulissesa, który nie był ideałem słowiańskim. Być może, że porozumienie, które zaczęło się pomiędzy nami na konferencji pokojowej w Paryżu, przyniesie zmianę we współżyciu obu narodów. Czekamy na nie od czasów Jagiellonów.

KALEMEGDAN JEST ŁADNY

Belgrad, który zobaczyłem najpierw z samolotu jest miastem mniejszym od Warszawy i pozbawionym starej architektury. Turcy, panując tutaj przez kilka wieków, budowali miasta z drzewa, a twierdze z kamienia. Kalemegdan, co oznacza po polsku pole walki, posiada fundamenty jeszcze rzymskie, panuje nad uściem Sawy do Dunaju i widział różnych władców. Dziś partyzanci Tita chodzą po nim poważnie i krokiem rzymlan. Mają twarze ludzi z gór, którzy zeszli w doliny miast.

Panuje tu pomieszanie narodowości i plemienne jeszcze przywiązanie do ciemnej urody. Nigdzie chyba w Europie nie widzi się tak pięknego folkloru i tak bogatych strojów ludowych. W strojach chłopek z Czarnogóry, Bośni, czy Wojewodiny widziałem przepych barw, którego pozazdrościłby Bonnard.

Kalemegdan jest dzisiaj parkiem. Pomiedzy fosami czerwienią się korty tenisowe i tarasy z widokiem na Dunaj, który przyciąga turystów. Mogą spierać się tutaj: czy Sa-

wa wpada do Dunaju, czy Dunaj do Sawy? Kiedy jednak słońce pada ukosem na rzeki, widać rozdzielił ich wód i kolor: Sawa jest żółtawa i mulista, a Dunaj taki, jak o nim śpiewają wiedenki. W Kalemegdanie nie ma już Turków, zostały po nich krzywe szable w muzeum i pale, na które wbijali ludzi. Ale wiele kobiet jeszcze ma po nich urodę turecką, Marija, Serbka, która mówi tak dobrze po polsku, jak po serbsku i pokazuje mi Kalemegdan, ma wielkie, spokojnie płonące oczy, które zobaczyłbym w Stambule. Widzę tutaj więcej takich oczu, nie można jednak długo patrzeć w nie obojętnie i bezkarnie.

Na ulicach — tarasy małych kawiarenek. Są one popularne wśród ludu serbskiego. Przyjęto w tym kraju, że każdy bawi się gdzie chce. Do kawiarni, w której schodzą się cudzoziemcy, wchodzi czasem chłopka w ludowym stroju i bawi się swobodnie. Ulubionym i narodowym tańcem jest „Kolo”, które tańczy się na ulicach, przy zaimprowizowanej muzyce lub nawet bez niej. Taniec ten ma wiele uroku i wciągnął mnie raz do niego wir ludzki. Był to dzień, w którym obchodzono urodziny Tito i tańczono na ulicach.

Gdy przychodzi popołudnie, Serbowie wychodzą na spacer do Kalemegdanu, lub nad Sawę, na plażę bez ziarnka piasku. Marija pokazuje mi dzisiaj ogród, pełen rzeźb, pomników i róż, które w Serbii pachną inaczej. Gdy chce powiedzieć, że ktoś się jej podoba, wacha kwiat i mówi: — Kalemegdan jest ładny.

Na pomniku Mestrowicza, postawionym Francji, pokazałem Mariji mądry napis, jaki umieścili Serbowie po pierwszej wojnie. — Kochamy Francję — tak, jak kochała nas w roku 1914—1918. Dzisiejsi Francuzi stracili wiele tutaj ze swojej sławy; myślę, że wiedzą dlaczego i Marija wie o tym również. Kiedy zapytałem ją, dlaczego pomiędzy naszymi narodami jest dzisiaj tyle sympatii, odpowiedziała żartobliwie. — Bo nie mamy ze sobą wspólnych granic. — Przypominając sobie spory graniczne z Czechami, myślałem, że jest w tym trochę prawdy dla sceptyka. Jednakże, jest coś poza tym, co łączy nasze narody i z czego obydwie słyną w Europie.

GDY KRÓL SIĘ ŻENIŁ, TITO WOJOWAŁ

Kiedys, w r. 1938, Ksewery Pruszyński odwiedzając brygady międzynarodowe w Hiszpanii, wyróżnił wśród nich Jugosło-

wian, jako najodważniejszych żołnierzy. Uplętno 10 lat od bojów nad Manzanares i Ebro, gdy z tych żołnierzy wyrosli w Jugosławii generałowie i bohaterowie narodowi z Titem na czele. (Dla ciekawości podaję, że brygadą czesko-jugosłowiańską w Hiszpanii dowodził Polak, obecny płk. Komar, a nasz attaché wojskowy w Belgradzie spotyka się z generałami, którzy byli kiedyś jego podkomendnymi. Nie zamąca to w niczym ich dawnych stosunków i przyjaźni).

Ludzie ci wyrosli na dowódców w wielkiej epopei partyzanckiej, bo tak można nazwać dzieje ich walki z Niemcami i Włochami w latach 1941—1945. Była to partyzantka, jakiej nie znała jeszcze historia. O jej dynamice świadczy fakt, że już w roku 1941, a więc w kilka miesięcy po podbiciu Jugosławii przez Hitlera i Mussoliniego, jedyna trzecia kraju była wolna od Niemców i Włochów, okupujących go siłami 25 dywizji, co równa się liczbie 510 tys. żołnierzy. Armia partyzancka liczyła wówczas 100 tys. ludzi, a w r. 1944 — pół miliona.

W siedmiu morderczych ofensywach, jakie Niemcy i Włosi podejmowali, by zdławić powstanie — najeżdźcy stracili 132 tys. zabitych i 25 tys. jeńców, powstańcy zaś — 83 tys. poległych i 115 tys. rannych. Cyfry te mówią o zaciętości walk i o jej rozmiarach. Armia partyzancka posiadała artylerię, czołgi, a nawet fabryki broni.

Najcięższą dla Tita była piąta ofensywa, w maju 1943 r., gdy siły nieprzyjaciela okupujące kraj zwiększyły się do 39 dywizji (700 tys. żołnierzy). W ofensywach tych brały również udział na stronie Niemców oddziały czetników Draze Michajłowicza, Nedicza i oddziały Ustaszcy. Epilog tych wszystkich zrad i krwawych walk bratobójczych rozegrał się na procesie Michajłowicza, kompromitując również oficerów anglosaskich, którzy spotykali się w kwatery Michajłowicza z delegatem niemieckiego dowództwa, Sterkerem, w r. 1944, a więc w czasie zażartych walk i ofensyw na froncie wschodnim oraz we Francji. Można było się domyślać, dlaczego Amerykanie i Anglicy nie chcieli dopuścić do publicznego procesu i naciskali notami na rząd Jugosławii, który przestał w końcu na nie odpowiadać. Bałkany i ich związek z inwazją na Europę, którą Churchill opóźniał, zawiera jeszcze nie jedną wstydlivą tajemnicę wojskową i polityczną. Niektórzy oficerowie anglosascy, jak ppłk. Ralf Ingersoll, dziennikarz z zamiłowania i oficer sztabu gen. Brandley'a, lub brytyjski



Marszałek Josip Broz Tito

mjr. Dowgleich — uchylają nieco w swoich księżkach kurtyny tych sekretów.

Walka wyzwolenicza narodów Jugosławii dokonała ich zjednoczenia, którego przed wojną nie było. Można powiedzieć, że epopeja ta jeszcze trwa. Piękna jest zwłaszcza młodzież Jugosławii! Była najofiarniejszą w partyzantce, dziś jest nią w pracy. Należy do jednego związku. Ludowej Młodzieży Jugosławii, liczącej ponad 2 miliony członków. Kraj ten rozwija się pomyślniej niż Polska, choć jest od niej biedniejszy i mniej uprzemysłowiony. Tajemnica tego rozwoju leży w tym, że podczas, kiedy w Polsce tracimy lata i energię na zjednoczenie się, na walkę z dywersją, i z bandytyzmem — Jugosłowianie walki te mają już poza sobą. Naród ma wielkie zaufanie do swojego rządu i do człowieka, który jest w Jugosławii już legendą. O Tito lud śpiewa piosenki i opowiada rapsody wojenne. Przysłowie ludowe mówi, że kiedy król (Piotr) zenił się, Tito wojował. W dniu jego urodzin biegi do stolicy sztafety z całego kraju, niosąc podarunki i przywiązanie od ludu, z którego Tito wyszedł jako robotnik.

Była godzina 6 rano, kiedy zbudził mnie śpiew. To szły jeszcze do Tita Czarnogórki ze sztandarami republiki.

Pewien pułkownik amerykański, przebywający w Jugosławii dziwił się z gniewem, że w kraju tym nie ma opozycji i, że „nie można jej zrobić”. Gdyby nie myślał, jak Amerykanin i nie rozróżniał ludzi według kolorów, a słuchał co oni mówią i czują — może by zrozumiał, dlaczego w Jugosławii nie ma opozycji, lub dlaczego można poruszać się po całym kraju tak bezpiecznie. W Jugosławii nie ma bandytyzmu, który jest w Ameryce i nleści w naszych lasach. Pierwszą rzeczą, o jaką poproszono mnie w ambasadzie polskiej w Belgradzie, było zdjęcie broni. Była zupełnie niepotrzebna: Sprawdziłem to niejednokrotnie w zaułkach miasta, a ppłk. Bron, nasz attaché wojskowy — w najdalszych i najbardziej romantycznych uroczyskach Jugosławii. Były bezpieczniejsze od śródmieścia Chicago, czy od naszych rozdroży.

U TITO

Zbłądziliśmy w wielkim ogrodzie królewskim i zdziwiliśmy się, kiedy w pałacu spotkaliśmy tylko cłse i posagi. Zdziwił się również jugosłowiański oficer, gdy zobaczył wychodzących z ogrodu polskich oficerów. — Jeżeli przyjechalście do króla, to spóźniłście się. Wyjechał już do Londynu — roześmiał się, widząc naszą omyłkę.

Tito mieszkał w białym domu, na wzgórzu, skąd widać było całe miasto, a za nim starą Serbię. Na schodach oczekiwali nas oficerowie, rośli i ogorzali partyzanci. Kiedy witają się, uścisk ich dłoni nie jest miękki ani pyszny.

Wiedzą kim jesteśmy, i nie sposób przywitać się z nimi bez szczerzego uśmiechu. Prowadzą nas do sali, w której od rana różne delegacje i wojsko składają życzenia. Wiozę dla Tito list i życzenia od marszałka Polski, od armii i kraju zaprzyjaźnionego. Rozmowa z Tito nie jest oficjalna i trwa dłużej niż wymaga tego protokół dyplomatyczny.

Jest to silny mężczyzna w pełni wieku, kończący dziś, 25 maja, 54-ty rok życia. Matka jego była Słowenką, ojciec Chorwatem. Na twarzy Tito widzę uśmiech i słońce padające z ogrodu, oraz słyszę od czasu do czasu szeroki, szczerzy śmiech. W ustach jednakże i w bruzdach kryją się dawne przeżycia i cierpienia, które nadają tej mądrej twarzy wyraz zaspiewania. Człowiek ten był prześladowany przez faszystów

i siedział lata w więzieniu, a potem niejednym raz patrzył śmierci w oczy.

Jeśli miliony ludzi wierzą i ufają mu, to zaufanie to obok dumy i radości jest również ciężarem. Tito wie, kim jest dla Jugosławii. Dlatego na jego twarzy widzi się więcej troski niż uśmiechu. Wino, które pijemy z nim razem za przyszłość Jugosławii, jest słodkie i cierpkie.

Obok Tito siedzi jego dorosły syn, bez ręki, którą utracił w partyzantce. I na jego twarzy widać więcej zamyślenia niż uśmiechu. W górach Montenegro nie było tak, jak w piosenkach. W piątą ofensywę, w maju 1943 r. były najcięższe bitwy, wtedy gdy partyzantom najbardziej było potrzeba odpoczynku. Nie minął miesiąc od ostatniej ofensywy, kiedy Niemcy i Włosi i czelnicy zaczęli nową wyprawę. Wówczas kilka tysięcy partyzantów chorowało na tyfus plamisty, tysiące rannych leżało pod gołym niebem; ciężko więc było przebić się z nimi przez przełęcz. Była to najkrzywciejsza i najbardziej zażarta z ofensyw jaką podjęli Niemcy w Jugosławii.

Syn towarzyszy ojcu, a im obu — wielki wilczur, wierny ich towarzysz partyzantki. Skończyły się tamte wielkie czasy. Rozmawiamy o współczesności, o Polsce i o Jugosławii. Marszałek wypytuje się o naszą armię, młodzież i odprawia dziennikarzy. Mówiąc o młodzieży jugosłowiańskiej, głos jego poważnieje. Jest ona jego dumą i nadzieją, co akcentuje.

Myślę o zblakłej młodzieży polskiej i o jej dramacie, jaki przeżyła podczas wojny i przeżywa jeszcze do dzisiaj. Największą chyba krzywdę wyrządzili jej starzy politycy, opętani wojną z Rosją. Jeszcze dziś w niejednych oczach widzę nienawiść do Polski, która powstaje; niejedne zaś młode ręce strzelały z automatu do Polaków, zamiast do Niemców. Droga ich wiodła przez faszystów. Myślę głównie o młodzieży szkolnej i akademickiej, o jej wycieczkach do Rzymu i Mussoliniego, jakie odbywała przed wojną z uczelni warszawskiej.

Młodzież Jugosławii wie czego chce i odbudowuje kraj z wielkim poświęceniem, energią. Kiedy powracałem o pierwszej w nocy przez Belgrad, widziałem ją pracującą jeszcze przy rozbiórce ruin. U nas nie widać, aby pokolenie Judymów przyszło tak prędko — w kraju, w którym nie szklanych domów, ale zwykłych, murowanych potrzeba. Nadzieją naszego kraju jest młodzież robotnicza, której ofiarna praca w hutach śląskich, czy fabrykach łódzkich budzi wiarę w pokolenie.

LUDZIE SĄ NAJWIĘKSZYM BOGACTWEM

— Niech pan pójdzie dziś z nami i zobacz jak jugosłowiańscy posłowie pracują i witają Polaków. Dziś odbędzie się ratyfikacja układu polsko-jugosłowiańskiego, w sprawie wzajemnej wymiany kulturalnej. — Poszedłem z członkami naszej ambasady i widziałem owację, jaką zgotowano ambasadorowi Wendemu i Polakom. Jugosłowianie nie są skąpi w swoich uczuciach i oklaskach.

Olbrzymia większość ministrów i posłów — to byli partyzanci. Na piersiach ich widzę odznakę, którą aby mieć, trzeba było być przynajmniej dwa lata w powstaniu. To ma swoją mocną wymowę. Inny jest tutaj styl pracy parlamentarnej i mniej słów nieparlamentarnych, niż u nas. Widzę dużo twarzy młodych i mądrych. Słyszę przemawiającego posła, księdza partyzanta, mądrego starca, który nie patrzy papieskimi

oczami. Budzi to znów we mnie skojarzenia — obraz naszych księży, którym trudno jest wyjść poza ambonę i zacofanie, odrzucić katolicyzm.

Wśród posłów i rządu jest wielu intelektualistów; a największy poeta Jugosławii — Nazor był jednym z najbliższych współpracowników Tito w tworzeniu rządu zjednoczenia narodowego. Pjade, wybitny artysta-malarz, jest jedną z głównych postaci parlamentu i rządu. Trzeba powiedzieć, że inteligencja jugosłowiańska przed wojną stanowiła w tym kraju ośrodek intelektualnej lewicy i była zdecydowanie postępową.

Ludzie Jugosławii są jej największym bogactwem. Młodzież, która buduje koleje, żołnierz i oficer rozmiłowany w wojsku, co mogłem sprawdzić, zwiedzając szkoły oficerskie, asystując przy ćwiczeniach i egzaminach (były pytania o Polskę), chłopci i robotnicy przekonani, że mają swoje rządy, postępową i ideową inteligencja — wypracują Jugosławii piękną przyszłość.

* * *

Nie będąc bogatą, mając zniszczone wioski bardziej niż miasta, Jugosławia nie zna głodu i nie ma kłopotów aprowizacyjnych, jak np. Francja, gdzie kwitnie czarny rynek. W Jugosławii prawie go nie ma. Speculacja została ukrócona, a zwłaszcza handel obcą walutą. Mogą o tym coś powiedzieć Amerykanie, którzy wymieniali w Belgradzie dolar za 50 dinarów, zamiast stu kilkadziesiąt u handlarzy, a co doprowadza ich do nie purytańskich wyrażań. (Jeżeli dolar równa się ze złotym, dolar kosztowałby 50 złotych: ile kosztuje w Warszawie? — Nic dziwnego, że cudzoziemcy tak chwają sobie naszą stolicę, w której za drogi dolar mogą kupić „le plus beau jambon et les jambettes”, jak powiedział mi jeden z nich w podróży, a co po polsku brzmi jeszcze cynicznie).

Zwalczanie spekulacji nie wywołało bynajmniej ukrywania produktów w sklepach, a co mogłoby zdarzyć się w Warszawie, czy w Krakowie, gdzie mowy Byrnesa lub Churchilla kształtują jeszcze ceny. Belgrad, najdroższe miasto Jugosławii, jest tańszy od najtańszego miasta w Polsce, a dinar ma dziś większą siłę nabywczą niż złoty, chociaż przed wojną równał się jedenastu groszom. Ciekawych i łakomych informuję, że



Stracenie robotnika - partyzanta Stefana Zefimowicza przez Niemców i czetników w Valerio w r. 1942.



Kolumna partyzancka, pod Kosewo. Zima w górach - 1943 r.

owoce, winogrona, wina i papierosy są tutaj bardzo tanie, a paczki UNRRA sprzedaje się w wolnym handlu po 300 dinarów, kiedy w Polsce kosztują około 2000 zł. Słodyczy tutaj nie brak, droższe są kartofle, a jugosłowiańskie papierosy nie ustępują amerykańskim, zwłaszcza wyrabianym w Rembertowie.

Moralistów może zainteresuje życie nocne, którego nie ma prawie w Belgradzie, jak nie ma drogich ani tanich kobiet, których metropolie świata, jak New York, Paryż, Londyn czy Rzym — mają dziesiątki tysięcy. Cudzoziemcy, którzy przywykli do dancinów i do nocnego życia, jeżdżą do Zagrzebia, który słynie u nich z ładnych dziewcząt i elegancji, oraz uważa się za miasto katolickie i należące do zachodniej kultury. W Belgradzie, dziewczęta chodzą na płaskich obcasach i źle ubrane. Nie żyły ze swoich wdzięków. Pracowały, nieraz ciężko i ofiarnie. Belgrad nie jest miastem zbytku i prostytucji.

CO MYŚLĄ OBCY

Jugosławia jest krajem związkowym, składającym się z kilku republik i narodowości, które przed wojną były ze sobą skłócone i wykazywały tendencje separatystyczne. Dziś dzięki mądrej polityce, tendencje te znikają zupełnie. Powstaje wielki naród, który miał to szczęście, że nie miał wielkiej szlachty. Były tutaj większe przeciwieństwa narodowościowe, niż klasowe. Walka z rodzimym faszystem była gwałtowna, ale krótka. Zakończyła się jeszcze podczas wojny, w której reakcja jugosłowiańska skompromitowała się całkowicie swoją współpracą z Niemcami i Włochami Mussoliniego. Była to walka zawzięta i pełna okrucieństw, do jakiego faszystów jest tylko zdolny. W muzeum partyzanckim, wiszą fotografie partyzantów przerzynanych piłą przez czetników, lub sztyletowanymi. Na zdjęciach tych stoją również Niemcy, którzy tak lubili się fotografować obok wisielców. Tutaj nie było łagodnej rewolucji i nie mogło jej być.

Jednocząc Jugosławie, Tito nie miał łatwego zadania, i kiedy powstawały republiki, musiał godzić je i wydawać wyroki salomonowe. Dokonał tego z roztropnością doświadczonego i przewidującego polityka. Sceptykom i niedowiarcom, którym te relacje o Jugosławii mogą wydać się zbyt jednostronne, przytoczę na zakończenie głos „Times’a”, a więc głos trzeźwych Anglików, nie robiących nic bez notosu i kalkulacji. „Times” pisze: „System federacyjny marszałka Tito przyniósł w wyniku zanik waśni narodowościowych, jakie dawniej istniały w kraju. Uchroniło to kraj od krwawej wojny domowej, której nie sposób byłoby uniknąć, gdyby władzę zyskał Michajłowicz”.

W innym artykule „Times” wzywa do porozumienia z Jugosławią i woła o poprawę stosunków, podkreślając silne i trwałe podstawy rządu marsz. Tito. Przypuszczamy, że wezwanie to rodzi się nie tyle z sympatii, ile z interesu, a więc jest przynajmniej rozsądne. „Times” uważa, że „zarysowująca się przepaść nie może być przezwyciężona wysiłkiem jednostronnym i Jugosławia także musi odegrać swoją rolę”.

Stosunki pomiędzy W. Brytanią a Jugosławią pogorszyły się obecnie z powodu Triestu. W Brytanii spodziewa się po Jugosławii, że zda sobie sprawę z niebezpieczeństwa i nietrwałości rozwiązań rozjemczych w strefie, w której siły zbrojne brytyjskie i amerykańskie odpowiedzialne są za utrzymanie porządku, oraz, że rząd jugosłowiański w ocenie brytyjskiej polityki i cierpliwości wykaże tyle realizmu, co Wielka Brytania powinna wykazać w ocenie trwałości i mocy rządu marsz. Tito.

Czy jest to kuszenie uboższego, niech rozsądzą dyplomaci. Nas interesuje tylko fakt, że ostre i wcale nie pokojowe ultimatum, jakie wysłały nie dawno USA do Belgradu w sprawie zestrzelenia amerykańskich samolotów nad Jugosławią — nie zastraszyło tego dzielnego narodu. A jeżeli potem słyszemy pojednawcze głosy zza kanału La Manche, to są to tylko powody do optymizmu i uznania dla kraju, który tak patriotycznie i mocno broni swoich praw. Minęły już czasy, kiedy można było łatwo kupować ministrów i rządy w państwach słowiańskich.

O Jugosławii zbyt mało jeszcze wie się w Polsce. Nasi intelektualiści, którzy tak lubią jeździć do Londynu i Paryża może by odwiedzili kiedyś i kraj naszych przyjaciół. Ziemia, ludzie i pomniki są tutaj piękne, a wino niegorsze.

Piotr Borowy

PAWEŁ HERTZ

U C I E C Z K A



(Ciąg dalszy)

DLATEGO też postąpiłem kilka kroków w kierunku stołu i już zamierzałem wyciągnąć rękę, gdy przyjrzałem mi się widocznie wystarczająco, odwróciłem głowę w stronę ciemnych drzwi w końcu pokoju i zawałałem:

— Sura, Sura, panicz Lambert przyjechał! Po chwili w kręgu lampy ujrzałem starą żydówkę w peruce. Wycierała ręce o fartuch i przyglądała mi się, kiwając głową, złożywszy wargi, jak gdyby zaraz miał się z nich wydobyć dźwięk zdławionego smokowania.

Szum i Sura Brzeski powitani mnio tak, jak służba folwarczna wita młodego dziedzica, gdy po latach dalekich podróży powraca do ojcowskiego majątku. Nie wyniesiono mi co prawda na srebrnej tacy chleba i soli, bo obyczajem były tu inne, choć niemniej godne. Po chwili mieszałem cynową łyżeczką słabą, mocno ocukrzoną herbatę w szklance, siedząc w kręgu lampy, przy stole pokrytym zdarta, zieloną, ceratą i przegrzającym kawałek słodkiej strudelki.

Szum Brzeski mieszkał w tym domku od tylu lat, że pamiętał dzieci, gdy dziadek mój Leopold jechał tędy czarnym, otwartym powozem od stacji, by objąć w posiadanie Stradecz. Szum przez kilkadziesiąt lat pośredniczył w sprzedaży karpi i był totumfaciłem Leopolda. Związany ze Stradecem, jako element skomplikowanego procesu wymiany żywych złotych karpi na martwe złoto carskich rubli, a potem na okupacyjne marki i polskie złote, Szum, patriarchalnym obyczajem, czuł się jak gdyby spowinowacony z całą rodziną Lambertów. Istotnie, znał ich wszystkich, umiał na pamięć historię ich życia, pamiętał koligacje i stopnie pokrewieństwa. Twierdził, że znał mojego ojca, z czasów, gdy ten przyjeżdżał do stryja Leopolda na wakacje. Był zdziwiony, że nie wiem nic o losach rodziny Lambertów i Stradeca od chwili śmierci starego Leopolda i postanowił uzupełnić moją wiedzę rodzinną. Wobec tego, że to co mi opowiadał Szum Brzeski wypełnia lukę, która powstała od chwili, gdy zamknąłem album rodzinny, do chwili gdy po raz pierwszy wszedłem w progi stradecckiego domu, opowiadanie jego przytaczam w całości:

— Stary pan, to był pan — zaczął Szum przy niemych aplauzie swojej żony, która nie przestawała przyglądać mi się badawczo, jakby szukała na moim czole gwiazdy lub też innego znaku świadczącego nie- zbicie o mojej przynależności do rodu Lambertów — stary pan, to był pan. Aż się dziwuję, że Żyd, z przeproszeniem panicza, mógł być taki pan. — Tu Brzeski głośno westchnął. — Jak on kupił Stradecz, to my zaraz mówili, że on będzie dobry pan i tak było. Zanim była Polska, to ja sprzedawałem te karpie, co je starszy pan hodował, a potem, jak była Polska, to starszy pan niedługo umarł. Coś w dwudziestym piątym roku. Tak, Sura? — zwrócił się do żony, która powtórzyła, jak żalobne echo — W dwudziestym piątym.

— A potem to był tylko pan Ludwik, to on wszystko zaniedbał, tylko do Brześcia jeździł, do takiej jednej, co aż wstyd powiedzieć. A potem się z nią ożenił. A pan Gabriel to tylko na lato przyjeżdżał i darmo lekarstwa chłopom dawał i co rano to, z przeproszeniem panicza, po parku prawie

nago chodził i pół godziny pluł zęby. A karpie marniały, bo nikt ich nie doglądał, i aż się serce za te ryby kłajało. — Sura Brzeska jęknęła boleśnie na myśl o niedoli porzuconych, stradeckich karpi. — A potem, to przyjechał najstarszy, pan Roman. A to już było w trzy lata po śmierci starzego pana, co to go na żydowskim cmentarzu w Warszawie pochowali, a pan Roman to w Brześciu w kościele nabożeństwo urządzał. Oj! — westchnął tym razem oboje małżonkowie, wznosząc oczy do swego surowego Boga — I pan Roman wszystkich żydków wyrzucił i handlować nie dał, co my ze starszym panem handlowali. On prosto do Warszawy sprzedał i oficery z Brześcia tam jada na polowanie i pan Roman poluje. Starszy pan nigdy nie polował, kto to widział, żeby Żyd polował? — zwrócił się ku żonie, która wciąż kiwała głową, nie wiadomo, czy potakując jego słowom, czy ukłysłana rytmicznym i śpiewnym tokiem opowiadania. — A ja to już w Stradecu nie byłem z osiem lat. Ale panicz to zawiozł. Teraz tam też żydki są — pochylił się konfidencjonalnie — bo do starszej pani rodzina z Łodzi przyjechała przed Niemcami.

Szum odsunął się i uśmiechnął triumfalnie. Choć nieraz myślałem później o tym uśmiechu, nigdy nie zdołałem go sklasyfikować. Czy uśmiech ten był triumfalny dlatego, że rodzina starych ocalała się przed Niemcami i wojenną burzą, czy może znał, że w niebezpieczeństwie spadają z ludzi marki i oto Roman, który wyperł się swego żydowskiego pochodzenia, musi teraz przechowywać w stradeckim domu z którego wyparł przed laty synów Izraela, łódzką rodzinę swojej matki?

W stosunku do mnie stary Szum nie miał żadnych wątpliwości. To, że pojawiłem się w pierwszym tygodniu wojny, jako uciekinier w jego ubogim domku na brzeskim przedmieściu tłumaczyło się doskonale moim zewnętrznym podobieństwem do Lambertów, których Szum znał tak dobrze. Charakterystyczne rysy lambertowskich twarzy, zdradzające pochodzenie męzczyzn, zwłaszcza gdy byli nieogoleni — lekko przygarbiony nos, nieco wzdęta dolna warga, brunatny ton skóry i bardzo czarne, prawie niebieskie włosy, były udzielną każdym z nas w równej mierze. Roman Lambert starał się je skryć, zapuszczając w młodości angielski wąs, gdyż sądził, że nadeje to twarzy wyglądał właściwie miedzynarodowej arystokracji. Różnił się tym od Leopolda, który, jak wspominałem, nosił sumiasty polski wąs. Moje podobieństwo do Lambertów, było widoczne na pierwszy rzut oka. To właśnie zapewniło mi życzliwość Szum Brzeskiego, szklankę słabej, mocno ocukrzonej herbaty, opowiadanie i nocleg — sen na pluszowej otomance, świadczący o tym, że właściciele jej nieśli niegdyś żył ze sprzedaży karpi hodowanych przez mego dziada Leopolda.

Dwie muzyki towarzyszyły zasypianiu — jedna — domowa i legodna: liryczny duet chrapliwych i poświśniętych niekiedy oddechów małżeństwa Brzeskich, druga — groźna i okrutna — muzyka zmieniającego się w naszych oczach światła — artyleryjska kanonada i dobiegający od szosy jazgot czołgów. Ale ta pierwsza muzyka była bliższa i wyraźniejsza, więc zasnąłem, zasluchany w nią, tak spokojnie, jak niegdyś w bezpiecznej głębi mieszkania moich rodziców.

— Niech panicz wstaje, już późno! — stary Szum szarpał mnie tklawie za ramię.

Oglądałem poprzez wółprzymknięte powieki miejsce w którym się znajdowałem. Nad otomanką, na której prześniłem swój ostatni bezpieczny sen, wisiał drewniany zegar z kukulką. Wielka wskazówka dotykała pościelnego, niegdyś zapewne białego, punktu nad cyfrą dwanaście, mniejsza wskazywała cyfrę dziewięć. W tej chwili z drzwiczek domku wyrzeźbionego nad tarczą zegara wybiegła kukulka i czystym, metalicznym głosem zakukała dziewięć razy. Po pierwszych dwóch taktach kukulczego solo, przypomniałem sobie stary zabobon i szybko w myślach zapytałem kukulkę, jak długo będzie jeszcze trwał ród Lambertów. I dopiero gdy kukulka urwała dziewiąty śpiew, uświadomiłem sobie, że postąpiłem perfidnie. Z góry przecież wiedziałem jaką liczbą ograniczone jest kukulcze proroctwo. Rozsądek zaś pod-

szeptował mi, że liczba ta nie jest liczbą lat, ani nawet miesięcy. Musiałem widocznie nasłuchiwać zegara w skupieniu, bo Szum Brzeski zastąpił nieruchomo nad moim posłaniem. Działo się to 11 września 1939 r.

Po chwili wstałem, ubrałem się i wypilem słabą herbatę w szklance.

— Od czasu jak pan Roman rządzi w Stradecu, to już osiem lat będzie — zwrócił się Szum do żony, która odpowiedziała poważnym skłnieniem głowy — to ja już osiem lat jak tam nie byłem. Bo nie było po co — zafrasował się nagle. — Ale panicz to ja odwiozę. Konia mam i bryczkę mam, to odwiozę — dodał, uśmiechając się na samo wspomnienie tej drogi, którą znał tak dobrze, po której jeździł tyle lat, póki tych podróży nie przerwał przybycie ze świata Roman.

Ze starą Brzeską nie rozmawiałem, ani wieczorem, ani podczas porannej herbaty. Wydało mi się nagle, że jeśli zamienię z nią kilka słów, to spełnię dobry uczynek. Myśl o dobrym uczynku przyszła nie wiadomo skąd. Takich myśli nie miałem dotąd prawie nigdy. Mój stosunek do ludzi był taki sam jak do obrazów, ksiąg, muzyki czy nowych krajobrazów. Odszukiwałem w nich tylko to, co było dobre mi znaną częścią mnie samego, ale ludźmi od strony ich życia, czy potrzeb nie interesowałem się zupełnie. To był czas, gdy wewnętrzne niepokoje regulowano za pomocą rozmaitych wierzeń. Konstruowano mity. Równie dobrze można było liczyć płyty na chodniku między miejscem zamieszkania i modną kawiarnią, jak wierzyć w Boga. Jakkolwiek liczba płyt stawała się liczbą mistyczną, zdawało się, że można wszystko na tym oprzeć. O świecie bowiem, takim jaki jest naprawdę, wiedzieliśmy niewiele, choć zdawałoby się, że wiedzę tę moglibyśmy zdobyć bez trudu. Ale popełnialiśmy błąd zasadniczy, wynuwając świat z naszej myśli. Ta zaś była tylko produktem warunków naszego bytowania. Zamiast zbadać tę zależność i dokonać retuszu naszych pojęć, chwytaliśmy się każdego innego sposobu. Ostatecznie wydało mi się dziś, że obliczanie ilości płyt mogło być równie trwałym fundamentem naszych pojęć o świecie jak wiara w Boga. Jedno i drugie nie wymagało żadnego przygotowania, jedno i drugie mogło być interpretowane jako źródło wszystkiego, co się dzieje na tej nieznannej nam zupełnie planecie. Ale widocznie moje dotychczasowe wierzenia zostały dość gruntownie zachwiane przez wojnę. Pragnąłem nawiązać kontakt z człowiekiem i spełnić dobry w moim mniemaniu uczynek. Wydawało mi się, że jeśli przemówię do Sury Brzeskiej, to okaże jej wiele serca i pokrzepię ją w tych trudnych chwilach.

— Okropna rzecz ta wojna — rzekłem, starając się dobrać słowa tak, by były całkowicie dostępne i świadczyły jednocześnie o moim współczuciu. — Chyba nigdy pani nie myślała, że na stare lata będzie się pani musiała tak męczyć?

Sura Brzeska milczała, zastanowiła się nad tym, co powiedziałem i wreszcie z mądrym uśmiechem wyższości, uważając jednak by mnie nie urazić, odparła:

— Panicz nie zna żydowskiego, to panicz nie wie, ale żeby panicz wiedział, że męczyć się to pochodzi od „menczen” — a to znaczy „ludzie”. Człowiek już jest po to żeby się męczył.

Wstała i odeszła w nieznaną mi część mieszkania. Po chwili wróciła i przyniosła dużą, białą, pokretną strudelkę.

— Niech panicz weźmie. W Stradecu są karpie, ale pewnie nie ma maki! — dodała ze znanstwem, opartym na doświadczeniu z lat poprzedniej wojny.

Bryczka którą Szum Brzeski wioził mnie do rodzinnego gniazda Lambertów, była bardzo stara i podskakiwała na wyboistej drodze. Szosą jechaliśmy zaledwie kilka minut, poczem skręciliśmy w boczną, pełną drogę. Chudy konik szedł posłusznie i ci- cho, znał ją widocznie na pamięć.

Milczeliśmy. Szum przypatrywał się mijanym krajobrazom, które nie były bardzo urozmaicone. Wreszcie wjechaliśmy w piaszczystą pustynię. Kłasykanie bryczki ustąpiło, plynęliśmy bowiem monotonnie w piaszkach. To przerwało moją drzemkę. Zauważyłem tablicę z napisem, świadczącym o tym, że jedziemy przez teren poligonu. Konik szedł stępą, Szum kiwał się rytmicznie na koźle, pograżając się i wynurzając ze stanu półsnu. W zupełnej ciszy słychać było tylko skrzypienie osi i zgrzyt ugniatanego piasku w koleinach drogi. Wreszcie konik stanął. Szum zbudził się czujnie. Z oddali, zza niebieskiej linii lasów, dobiegało nas monotonne brzęczenie, jak gdyby nadciągały wielkie roje trzmieli. A w chwilę potem ujrzałyśmy je — zza lasów szło nisko pięć samolotów w szyku podobnym do zakończenia strzały. Dryczka, konik i nasze postacie musiały widocznie zwrócić uwagę obserwatorów. Samoloty przeciągały teraz nad nami, niepodobne już do trzmieli. Słońce stało dość wysoko i cień skrzydeł na piasku podpełzał coraz bliżej, aż zakrył nas zupełnie. Byliśmy bezradni jak zajęce, gdy krąży nad nami jastrząb. Szum klasnął nagle z bąka, konik poderwał się do biegu. Bryczka potoczyła się kilka metrów. Zeskoczyłem w nagłym poczuciu niebezpieczeństwa. Wstydziłem się w owej chwili bardzo, że nie uprzedziłem o tym starego Brzeskiego, ale wydawało mi się, że nawet okrzyk może opóźnić chwilę ocalenia. Leżąc w wilgotnym, nie wysuszonym przez słońce, piasku drogi, usłyszałem kilkanaście suchych wystrzałów, szybko po sobie następujących. Bryczka oddalała się jeszcze chwilę od miejsca, w którym leżałem. Po chwili przewróciła się, widocznie koń padł. Samoloty oddaliły się na odległość, gwarantującą mi pełne bezpieczeństwo. Zerwałem się i pobiegłem w kierunku przewróconej bryczki. Koń leżał z wywieszonym jeźdźcą i dyszał ciężko. Szum Brzeski miał na wargach legodny uśmiech, oczy otwarte szeroko i zmarszczkę zdziwienia nad brwiami. Wyglądał jakby nie dowierzał swojej własnej śmierci. Na czole kwitła mała różyczka krwi i powoli zmieniała barwę od jasnoczerwonej i czystej, do purpurowo-czarnej. Pozostawiłem ich tak na piasku — konia i człowieka. Jeśli nie zdążymy ich pogrzebać przed końcem wojny, która będzie długo pewnie trwała dla tej smutnej ziemi, to może kiedyś po latach odnajdzie ktoś białe, splukane deszczem i wysuszone wiatrem, kości konia i człowieka. Podróżny, który je odnajdzie, niech żałuje tylko konia i niech chwali spokojną śmierć Szum Brzeskiego wśród piaszczystej drogi. Ten bowiem, jako mieszkaniec pogranicza świata pogardy i światła rozsądku — mieszkał bowiem na zachodnim brzegu Bugu, który od września 1939 roku do czerwca 1941 roku dzielił dwa światy — zginąłby śmiercią bardziej okrutną i nikt nawet nie mógłby odnaleźć jego białych kości.

Do Stradeca zaszedłem dopiero pod wieczór, mijając ogromne, porośnięte trzcinami stawy, płożące ptactwo wodne i budząc zaciekawienie karpi, które raz po raz wyśkiwały nad spokojne lustro wody.

Biały dom był pełen życia, zwłaszcza od strony kuchni. Wszedłem na drewniane stopnie ganku i oparłem się o fałszywą, pustą w środku, pobieloną wapnem kolumnę. Stąd widać było stawy i pod światło zachodzącego dnia ogromne roje wirujących nad nimi muszek i komarów.

Drzwi do wnętrza domu były otwarte. Stamtąd, z pozornej ciemności, dochodził mnie brzęk naczyń i strzępy rozmowy, rozłożonej na kilka głosów. Mogłem rozróżnić tylko tonację: głos starej kobiety, głos pełnego siebie mężczyzny w sile wieku, głos mężczyzny bardzo zmęczonego. Głosy te jak gdyby prowadziły spór. Po chwili namysłu wszedłem do wnętrza domu. Znalazłem się w hallu bez okien, światło padało tylko z góry, z okrągłego okna umieszczonego pośrodku frontowej ściany. Wokół hallu, u góry biegła galeria połączona z nim schodami. Na dole stały trzcinowe fotele, wisiały rogi jelenie i obrazy, które przy bliższych oglądach okazały się dyplomami w języku rosyjskim. Były to, jak się domyśliłem, nagrody otrzymane przez karpię dziadka Leopolda na konkursach i wystawach na wiele lat przed tamtą wojną. Dyplomy wisiały w tym domu, jak tarcze herbowe. Gdybym miał projektować herb dla rodziny Lambertów, to kazałbym wyrzeźbić koronę, w której dziewięć stylizowanych, wdzianych w kłopotliwych karpi zastępowałyby dziewięć pałeczek.

Za szklanymi drzwiami w ścianie wprost drzwi wejściowych toczyła się rozmowa, którą według tonacji oceniłem jako kłótnię. Dopiero z tej odległości, jaka dzieliła

K R A I N Y L A M B E R T Ó W

mnie od rozmawiających, zrozumiałem, że ktoś z uczestników rozmowy jest głuchy.

Rozsunąłem obie połowy drzwi i znalazłem się oko w oko z rodziną Lambertów, która siedziała przy pustym stole pod zleonym kloszem wiszącej lampy. Nawprost drzwi siedziała stara Julia, matka rodu, po jej lewej stronie — Ludwik, po prawej, najstarszy syn, Roman, po śmierci Leopolda głowa rodziny i władca Stradecza. Twarz Julii była podobna do twarzy Sury Brzeskiej. Tylko oczy jej były zagłębione i nie widziały świata. Podbródek zwisał ciężko, a wargi poruszały się mlarowo. Jak gdyby Julia przeżuwała coś bardzo smakowitego. Roman, jeśli mogłem sądzić według znanych mi wówczas fotografii Leopolda, był podobny do ojca. Miał zlekka zakrzywiony nos, wyrazisty profil, słwiejące skronie i wąs. Ręce jego w chwili, gdy pojawiłem się wśród rozsuniętej kotary szklanych drzwi, spoczywały zaciśnięte na stole. Ludwik, młodszy od Romana wyglądał o wiele starszej, oczy miał podbite, jak gdyby wpełnł w worki siwej skóry, policzki nie dogolone, pokryte szpakowatą szczecinką.

Stara nie zauważyła mego ukazania się i była beczymyślnie nieistniejąca pokarmy. Obaj kuzynowie, którzy mnie widzieli przed laty, patrzyli na mnie jak na nieznanego, z pogardą i zdziwieniem. Nie poznawali mnie, choć byłem podobny do Lambertów. Ale oni tak przywykli do widoku swoich zmienionych przez lata twarzy, że nie potrafili rozpoznać wspólnych nam rysów.

— Dobry wieczór, ciociu! — postanowiłem tak zwracać się do Julii, chociaż była właściwie moją stryjczną babką. — Dobry wieczór ciociu! — powtórzyłem głośnie, ale stara, jak gdyby trwała poza zasięgiem mego głosu. Podszedłem do niej na odległość kroku, Julia podniosła na mnie puste oczy. Zawolałem z całych sił: — Dobry wieczór ciociu! Stara drgnęła, przypominała sobie coś widocznego z trudem, marszczyła czoło i nie przeistawiała żu. Gdy pochylilem się, by pocałować ją w pomarszczoną i wyschniętą rękę, dotknęła mego czoła wargami z papieru. Wykrzykując trzykrotnie powitanie, zauważyłem zdziwienie, pokrywające powoli pogardę na twarzach moich kuzynów. Julia знала mnie dobrze, bywała bowiem nieraz w domu moich rodziców, zanim nie postarzała się zupełnie i zanim skąpy i trzeźwy Roman nie kazał jej zwinąć domu w Warszawie, który wynajął jakimś poselstwem i przenieść się do Stradecza, by tu w otoczeniu dwóch synów, których nie kochała i którzy jej nie kochali, oczekiwać spokojnej, starczej śmierci.

Kuzynowie zaś nie znali mnie zupełnie. — Romane, Ludwiku! — zaskrzeczała stara Julia — to jest syn siostrzeńca waszego ojca, a wasz kuzyn z drugiej linii, jak ci na imię? — zwróciła się ku mnie. Podpowiedziałem jej głośno: „Adam” — „wasz kuzyn z drugiej linii, Adam Lambert — recytowała dalej martwym głosem, jakby odczytywała stronicę z pierwszej części Almanachu Gotańskiego.

Nazwisko, które padło z ust Julii, na samym końcu skomplikowanego wywodu naszego pokrewieństwa, miało skutek magiczny. Obaj kuzynowie przyoblekli twarz w uśmiech i życzliwość, wstali ze swoich miejsc, podeszli do mnie i ucałowali mnie każdy trzykrotnie — dwa razy w policzki i raz w czoło, bo byłem od nich znacznie młodszy. W chwili gdy muskałem wargami środek mego czoła, pochylałem głowę. Przy tej okazji mogłem zauważyć, że Ludwik nosi ciężkie, niezgrabne buty, Roman zaś błyszczące półbuty z chromowej skóry.

Posadzono mnie przy stole obok Julii. Musiałem opowiadać dzieje mego ucieczki z Warszawy ze wszystkimi szczegółami... Właśnie przystąpiłem do opisu śmierci staro Brzeskiego, gdy przerwał mi Roman: — Czy Warszawę silnie bombardowano? Czy nasze domy stoją? — niepokoili się Roman.

— Jakże domy? — zapytałem z roztergnięciem, nie orientowałem się bowiem zupełnie ani w ilości, ani w topografii domów, stanowiących własność Lambertów w Warszawie.

— Jaki, jakie? — śmiał się Roman — na rogu Alei jeden, ten który wynajęliśmy po wyjeździe mamy, na Elektoralnej drugi — na Rybakach trzeci. Wiesz — zwrócił się do Ludwika, — ten, który ojciec

kupił po tamtej wojnie w czasie inflacji. Na drugi dzień za tę samą sumę można już było dostać tylko pudełko zapalek.

Twarze moich kuzynów wyrażały teraz poczucie podziwu dla zdolności i przedsiębiorczości nieżyjącego Leopolda, jak gdyby mówili: „My wszyscy z niego...” Julia żuła coś monotonnie.

Widocznie jednak zrozumieli, że w tej chwili nie jest to najważniejsze, gdyż z urdanym zainteresowaniem poczęli mnie wypytwać o losy pozostałej rodziny.

— Rodzina mamy, wiesz, Forcągowie z Łodzi, — Roman wypowiedział to nazwisko z wyraźnym niesmakiem i zniecierpliwieniem, jak gdyby odgarniał z nad ust uprzykrzoną muchę — uciekli do nas. Wyobrażasz sobie jak tu ciasno. Tym bardziej — dodał z namaszczeniem — że udzieliłem schronienia rodzinom moich przyjaciół z Brześcia, żonie pułkownika Pujdaka z córka i Kielanowskim — ich dom został zbombardowany. Nie rozumiem, dlaczego Forcągowie musieli się akurat tu schronić, to zupełnie nie jest odpowiednie towarzystwo dla pułkownikowej. — Tu Roman zwrócił się z wyrzutem do matki, która nie mogła tego usłyszeć. Ale zapewne wraz z twarzą Romana, gdy o tym mówił, był jej już znajomy, bo raz spojrzawszy na niego, odwróciła głowę. Gdy skończył, westchnęła głęboko, jak gdyby chciała się usprawiedliwić przed synem z tego, że urodziła się przed siedemdziesięciu laty w tak złej, zdaniem jego, rodzinie.

Cała męska linia Lambertów była obciążona dumą rodową. Muszę wyznać, że ojciec mój, który interesował się dziejami tej rodziny i gromadził materiały dla ustalenia naszego rodowodu, przekazał mi niejako przekonanie o tym, że pochodząc ze szpanioli, wielce różnimy się od wszelkich innych, patrycjuszowskich nawet rodzin, których nazwiska kończą się na „berg”, „man” i „zweig”. To poczucie odrębności szybko załamało się pierwszego dnia wojny, kiedy mój strach przed Gestapo, okazał się nie mniejszy od strachu „bergów”, „manów” i „zwelgów”. Ojciec mój nie podzielał moich obaw. Ja jednak poczuwszy ni stąd ni zowąd, solidarność z tysiącami ludzi o nienajlepiej brzmiących nazwiskach, opuściłem miejsce jeszcze wcześniej niż zdążyli to uczynić niektórzy dostojnicy państwowi i policja.

Nie zaspokoiliwszy ciekawości kuzyna Romana co do losów domów, zdołałem wreszcie opowiedzieć szczegóły śmierci Szmula Brzeskiego. Nie wywołało to na Lambertach żadnego wrażenia:

— Pomyśl, że mogłeś też zginąć. Trudno, gdzie drwa rąba, tam wiry lecą — mówił Roman z głębokim przekonaniem. — Stary Brzeski pozostał do końca wierny naszej rodzinie — zadeklamował w końcu, przybierając wspaniałą pozę. — Zginął zamiast jednego z Lambertów.

Chciałem rzucić się na Romana i zatkać mu usta w chwili, gdy to mówił. Wypowiadał bowiem w swojej głupocie myśl, której wstydzilem się najbardziej.

— Nie sądzę, by stary Brzeski myślał w chwili śmierci o splendorze naszej rodziny, myślę nawet, że trochę żałował, iż to nie ja ginę zamiast niego — odparłem ironicznie. Roman zrozumiał mnie i zamilkł.

Cała służba stradecka rozbiegła się w pierwszym dniu wojny. Mężczyźni zostali zmobilizowani, kobiety musiały wrócić do pomobilizowanych własnych domów. Pozostał tylko, prócz kucharki, stary służący Grzegorz i on to właśnie wszedł do pokoju, by zapytać, czy można już nakrywać do kolacji.

Po półgodzinie, gdy stół był już nakryty, rozległo się potrójne uderzenie gongu i z całego domu poczęto ściągać na posilek.

Rodzina Forcągów, złożona z trzech osób zasiadała po lewej stronie stołu. Pujdakowie i Kielanowscy, — pułkownik Pujdak bawił w Brześciu — po prawej. Grzegorz obnosił na półmisku karpie — smażone i gotowane. Pujdakowie i Kielanowscy byli obsługiwani pierwsi tak, że biednym Forcągom w domu ich siostry i ciocią dostawały się tylko rybne głowy i ogony.

Bardzo lubię głowę, moja Julciu — zawołała przez stół Regina Forcąg do swojej siostry. — To nawet zdrowe — dodała podnosząc oczy na ponurą grupę Pujdaków i Kielanowskich.

— Jak się je ryby to nie trzeba mówić! — rzucił niechętnie Roman, dla którego każdy dźwięk, wydobywający się z obfitej pierś cioci Reginy był jak zgrzyt żelaza po szkle.

Ten dialog odbywał się, jak potem mogłem stwierdzić, codziennie, gdyż oprócz karpia w Stradeczu nie było nic do jedzenia. Przypominałem sobie prorocтво Sury Brzeskiej. Żałowałem, że porzuciłem jej białą strudelę wśród piasek stradeckiej drogi.

Grzegorz podał herbatę w filiżankach. Dom stradecki musiał być zaskoczony tak wielką ilością gości, gdyż cukru nie podawano, herbata była już ocukrzona i dlatego mieszanie łyżeczką w filiżance, czemu oddawała się przez krótką chwilę ciocia Regina, mogło być poczytane jako wyrzut pod adresem gospodarzy.

— Jak widzisz, nie byliśmy przygotowani na taki zjazd — rzekł do mnie Roman, obarczając słodkim spojrzeniem Pujdaków i Kielanowskich, zaś straszny — Forcągów. — Kto mógł przypuścić, że Niemcy tak przedko się posuną?

— Ale nam chyba nic nie zagraża? — spytała ufinie panna Pujdakówna, widząc zapewne przed sobą dzikie postacie ułanów i marsową minę swego ojca.

— O ile wiem, Niemcy są niedaleko Brześcia, zdaje się, że go okrążą — powiedziałem głośno.

Obie strony stołu zwróciły ku mnie napięte spojrzenia. W oczach Pujdaków i Kielanowskich widać było obawę, w oczach Forcągów — śmiertelny lęk.

— Może Rosjanie nam pomogą? — rzucił nieśmiało młody Forcąg o kędzierzawych włosach i marzycielskim spojrzeniu.

— Co, bolszewicy? Bylibyśmy zgubieni! — krzyknęła cienko pani Kielanowska. — Lepiej niech już wejdą Niemcy. To kulturalni ludzie, przynajmniej oszczędzą ludność cywilną.

Roman spiorunował spojrzeniem kompromitującego go sposobem wymowy i treścią swych słów kuzyna i rzekł dobitnie:

— Ani ci, ani tamci, chwalić Boga, sami potrafimy się obronić — i bohaterko wyprostował się w swoim krześle. Pujdakowie i Kielanowscy postali mu gorące spojrzenie, pełne ufności i wiary.

Kolacja skończyła się powoli wśród szczerku naczyń. Panna Pujdakówna dygała przed Julią. Forcągowie stali zwartą, czarną, niespokojną grupą.

— A co będzie jak przyjdą Niemcy? — szeptał mi do ucha młody Forcąg, przymykając zaczerwienione powieki. — Trzeba będzie uciekać. A dokąd uciekać? — prowadził dalej swój monolog. — Na wschód. A tu nas zarzną, jeśli nie Niemcy, to ci chłopcy.

Wyszedłem na ganek. Zdaleka czekały psy i dochodził głuchy odgłos dział. Tym razem wydawał mi się bliższy niż poprzedniego dnia.

Zastanawiałem się nad tym, kto ma rację: Forcąg, Kielanowska czy Roman. Doszedłem do wniosku, że rację ma ten, kto jest w takiej samej sytuacji jak ja i przyznałem słusność Forcągowi. Ale ze wschodu pomoc nie nadciągała. Tam wschodził tylko wąski księżyc i skąpo oświecał powierzchnie stawów.

Następnego dnia obudziłem się wcześnie. Z braku miejsca spałem w pustym pokoju służbowym. Siennik, na którym leżałem był przetrzany i wystająca siłoma drapała mnie w plecy. Ułatwiło mi to szybsze wstanie i mycie się zimną wodą. Stół w jadalni był zastawiony kubkami z ocukrzoną białą, zbożową kawą, na talerzykach leżały kromki chleba z masłem — każdy mógł otrzymać tylko jedną kromkę. Stary Grzegorz sprzątał w hallu. Wypiłem kawę i wyszedłem przed dom, aby wypalić papierosa.

Przechadzałem się kilka minut, gdy na drodze wiodącej ku domowi ujrzałem tłum kurzu. Po chwili zza tej chmury ukazał się koń, ciągnący żółtą, starą bryczkę. Na koźle siedział mężczyzna w siłę wieku, w zakurzonej, angielskim kapeluszu, a w bryczce — otyła kobieta w zmiętym, ale bardzo eleganckim kiedyś kostiumie. Nowi goście przybywali do Stradecza. Bryczka zatrzymała się przed gankiem. Usunąłem się na bok, Grzegorz, zwabiony turkotem kół, wyjrzał przez drzwi, odstawił szcztokę

i wycierając ręce o spodnie, wyszedł na ganek.

— Czy pan Roman Lambert jest w Stradeczu? — zapytał z koźła woźnica młmowoili. Grzegorz skinął głową.

— Proszę mu powiedzieć, że przyjechał baron Berze! Baron Berze — powtórzył utytułowany stangret, zeskoczył z koźła i pomógł wysiąść otyłej damie. Grzegorz patrzył na nich pogardliwie i cofnął się w głąb domu. Po chwili na ganek wybiegł Roman i z przesadną serdecznością ucałował z dubeltówki barona oraz pełen galanterii pochylił się nad wyciągniętą, pokrytą kurzem dłonią otyłej damy.

— Wyobraź sobie, Romanie, że zabrakło nam na szosie benzyny — mówił głośno Berze — musiałem zostawić samochód tuż pod Brześciem, kupić konia z bryczką i tak tu dojechałem. Byliśmy zupełnie zdezorientowani, bo powiedziano nam, że należy kierować się na Brześć a tymczasem wszyscy pojechali na Lublin. Ach, te nowoczesne wynalazki! Koń, to rzecz niezawodna! — śmiał się — Wiesz, zupełnie teraz nie wleżę w te niemieckie tanki. Kawaleria, to jest wojsko co się zowie!

— Bardzo się cieszę, że cię widzę... i panią, baronową, zdaje się pierwszy raz w Stradeczu? Trochę będzie ciasno, ale to nie! Czym chata bogata tym rada! Mamy już gości: rodzina pułkownika Pujdaka, Kielanowskiego, mój kuzyn Adam, syn Michała Lamberta — dodał wskazując na mnie.

Podszedłem bliżej. Podaliśmy sobie ręce, ucałowałem opierzścione palce baronowej. Kurz osiadł na nich grubą warstwą, po chwili poczułem go na wargach. — Znam pańskiego ojca — rzucił mi Berze, jak gdyby wysławiał mi tym wielką łaskę. — Mówisz, że będzie ciasno? — zwrócił się do Romana — nie szkodzi jakoś się pomieścićmy!

— Oczywiście mój drogi, stare domy mają elastyczne ściany! Czym chata bogata! — śmiał się sztucznie Roman, kłaniając się i rozwodząc rękami — Grzegorzu, proszę wziąć walizki pana barona! — zawołał Roman w głąb domu.

Grzegorz wszedł opieszale, zdjął z bryczki dwie skórzane walizki z monogramami i poczekał, aż Roman i Berzowie wejdą do hallu.

— Pana barona! Pana barona! — powtórzał ze złością Grzegorz, przypuszczając, że nikt go nie słyszy. — Świat się wali, żyć już nie ma co, tylko te karpie, a oni „pana barona”. A do dupy z tym! — zaklął głośno, chwycił oboma rękoma walizki i znikł w drzwiach.

Po południu przyjechał motocyklem z Brześcia pułkownik Pujdak. Był w świetnym humorze i opowiadał, że nasze samoloty bombardowały Berlin. Sytuacja jest dobra. Śmigły puszca specjalnie tak daleko Niemców, żeby ich skuteczniej rozbić. Nasza kawaleria zapuściła się w głąb Prus Wschodnich. Oho, nie ma obawy! Wojnę wygramy!

To przemówienie, nacechowane żołnierską pewnością siebie i głębokim patriotyzmem, wpłynęło uspokajająco przede wszystkim na rodzinę Forcągów. Oni bowiem najbardziej pragnęli wleźć i w skuteczność zagonów naszej kawalerii w głąb Prus Wschodnich i w bombardowanie Berlina. Muszę tu dodać, że Forcągowie mieli jeszcze jedno źródło, z którego czerpali hart i spokój wewnętrzny. Był to duży, sześciopersonowy samochód z zapasem benzyny, którym młody Forcąg przywiózł całą rodzinę aż z Łodzi.

(Ciąg dalszy w nast. numerze)



JAN KOTT

STOSUNKI KULTURALNE POLSKO - FRANCUSKIE

Paryż, listopad

Po raz pierwszy chyba wydawcy paryscy zaczęli się poważnie interesować współczesną literaturą polską. Niewątpliwie wpłynęła na to kryzys powieści francuskiej. Powieść jest we Francji towarem handlowym o masowym popycie i francuscy wydawcy, nie mając dostatecznej liczby własnych powieści, zmuszeni są polować na tłumaczenia we wszystkich krajach świata. To jedna z przyczyn zainteresowania literaturą polską; są inne przyczyny, ważniejsze.

Francuzi są dziś znacznie bardziej niż przed wojną ciekawi spraw polskich, więcej o nas wiedzą, żywiej i szczerzej interesują się tym, co się u nas dzieje. Przyczyny są jasne, nie mam ochoty powtarzać truizmów. Wystarczy paratygodniowa przejażdżka po Europie, aby przekonać najbardziej zacieklego mitomana zachodu jak bardzo upodobniły się dziś warunki życia we wszystkich krajach, okupowanych podczas wojny przez Niemcy. Pewnie, że w roku 1935 w „Café de deux Magots” w Paryżu, i w „Ziemlańskiej” w Warszawie tokowano o tych samych książkach, autorach i problemach. Tak! ale w tym samym roku 1938 o parę kroków dalej, w małym bistro na rue des Saints Perés i w pierwszej lepszej knajpie na Chmielnej rozmowy nie miały już ze sobą wiele wspólnego. W roku 1938, intelektualści nad Wisłą i Sekwaną mieli podobne zmartwienia, drobnomieszczaństwo — bardzo różne. Drobnomieszczaństwo francuskie i polskie żyły przed wojną w świecie zupełnie innych wyobrażeń, mieli różne kłopoty i rachuby, obawy, przekonania i nadzieje.

Intelektualiści byli do siebie podobni — dziś stają się do siebie podobni drobnomieszczaństwo. Już nie tylko w „Les Lettres Françaises” i w „Kuźnicy” toczą się te same dyskusje o bizantyźmie współczesnej literatury, udziale pisarza w życiu politycznym i wartości sztuki abstrakcyjnej. Te same kłopoty gnębią dziś Fargę’a i Sztachelskiego, dwóch ministrów aprowizacji; i nie tylko mają te same kłopoty, w ten sam sposób muszą je rozwiązywać.

Przed wojną stopień uprzemysłowienia i niezależności gospodarczej pozwalał przeprowadzić ostrą granicę pomiędzy warunkami życia na wschodzie, zachodzie i południu Europy. Dzisiaj, granica się zatarła. Zubożenie Zachodu i reformy społeczne w środkowej i południowo-wschodniej Europie zniosły różnice jakościowe. W bistro na Avenue de l'Opéra i w knajpie na Piotrkowskiej rozmowy są do siebie bardzo podobne i bardzo podobne „odchodzą” transakcje handlowe.

Są to oczywiście bardzo dalekie przyczyny końca izolacjonizmu kulturalnego mieszczaństwa francuskiego. Są i bliższe przyczyny. Przeciętny Francuz zdaje sobie dokładnie sprawę, że czy tego chce, czy nie chce, los Francji rozstrzyga się dzisiaj we Wrocławiu, w Tricście i w Atenach. Europa stała się nie tylko biedniejsza, stała się mniejsza niż przed wojną, odległości mierzy się godzinami lotu bombowców. Polska, Jugosławia, Węgry i Rumunia przestały być dla Francuza krajami egzotycznymi, w których jedyną rzeczą interesującą są ludowe tańce, obrazy na szkle i kolorowe paslaki. Przeciętny Francuz zaczyna się interesować życiem, polityką i kulturą narodów środkowej Europy.

TREŚĆ Nr. 46:

Adam Schaff — Konsekwencje Rewolucji Październikowej. Bolesław Dudziński — Przełom i start. Stanisław Sreniowski — Wprowadzenie do historii chtëpów w Polsce. Julia Hartwig — Wiersze: Wiara, Mowa żałobna, Nauka, Los. Paweł Hertz — Ucieczka z krainy Lambertów. Stefan Żółkiewski — Ewa Korzeniowska — Dwugłos o książce Kazimierza Brandysa. Przewodnik Smolik — Wystawa trzech grafików polskich. Przegląd Prasy. Kronika ZSRR. Noty. Rysunki: Olga Siemaszkowa.

SEWERYN POLLAK

GODZINA ŻYCIA

poezje

Spółdzielnia Wydawnicza „Książka”

Na specjalne zainteresowanie Polską wpłynęły jeszcze różnego rodzaju względy polityczne, gospodarcze i sentymentalne. Od zainteresowania polskim węglem do zainteresowania polską literaturą nie jest tak daleko, jak się często myśli. Jest jeszcze poczucie wspólnego zagrożenia przez politykę anglosaską w Niemczech. I tradycyjne więzy sympatii, jakie łączą katolików francuskich z Polską. I prawdziwy szacunek lewicy dla naszych reform społecznych. I koleżeństwo w obozach koncentracyjnych i duży udział Polaków we francuskiej partyzantce.

Niestety nie potrafiliśmy dotąd wykorzystać tej dogodnej dla nas koniunktury politycznej i kulturalnej.

Stosunki intelektualne polsko - francuskie są ciągle jeszcze bardzo wąskie i ograniczone niemal do wzajemnych deklaracji. Informujemy o Polsce mało i źle, ciągle jeszcze w prasie życzyliwej nam i neutralnej ukazują się artykuły szkodzące nam lub po prostu bzdurne.

Nie chcę nikogo oskarżać personalnie. Mimo, iż w ciągu półrocza nastąpiła znaczna poprawa, wiele dałoby się powiedzieć o nieudolności i nieprzygotowaniu tych wszystkich, którzy zajmują się propagandą Polski i wymianą kulturalną polsko-francuską w Paryżu. Mniejsza z tym. Winy nie ponoszą poszczególni ludzie. Nieudolność naszej propagandy wynika przede wszystkim z błędów organizacji i niedostatecznego przemyślenia podstawowych zagadnień wymiany intelektualnej. O tych błędach chcę parę słów napisać.

Sprawa pierwsza dotyczy polskich książek i pism. W paryskich kioskach dostać można gazety z całego świata: chińskie i amerykańskie, rosyjskie i jugosłowiańskie, portugalskie i rumuńskie, polskich pism wydawanych w kraju nie ma. Owszem zdarza się czasami jakiś cudowny tydzień, kiedy w kiosku gazetowym przed Komedią Francuską można kupić „Dziennik Łódzki” sprzed miesiąca. Dlaczego ze wszystkich pism polskich dochodzi do Paryża właśnie „Dziennik Łódzki”, nikt mi nie potrafił wytłumaczyć. Poza tym dochodzą pisma polskie do Ambasady. Ale nie chodzi przecież o wysyłkę paru egzemplarzy, lecz o zorganizowanie stałej ulicznej sprzedaży i prenumeraty najważniejszych periodyków polskich. Jest rzeczą zupełnie niezrozumiałą, dlaczego nie potrafiliśmy tego dotąd zorganizować. Kolejki i samoloty chodzą, chwala Panu Bogu, regularnie od paru miesięcy.

To samo dotyczy książek. W „Polskiej Księgarni” w Paryżu dostać można wszystkie emigracyjne wydawnictwa polskie z Anglii, Ameryki i Włoch. Nie ma za to (poza paroma broszurami PIW i „Książki”) żadnych polskich książek z kraju. Owszem dwa razy przyszło kilkadziesiąt egzemplarzy wydawnictw „Czytelnika”. Zostały rozkupione w ciągu tygodnia. I znowu książek nie ma. Dlaczego? Nikt tego nie potrafił wyjaśnić. Trudności w regulowaniu rachunków nie są chyba nie do przezwyciężenia, skoro w Warszawie i Łodzi kupować już możemy książki francuskie. Raz jeszcze powtórzę: pierwszym warunkiem skuteczności naszej propagandy jest należyte zaopatrzenie Polonii za granicą i wszystkich ośrodków informacji polskich i obcych w czasopisma i książki z kraju.

A teraz sprawa druga — naszych attaszków kulturalnych. Rok doświadczeń pokazał, że działalność ich okazała się zupełnie znikomą. I znowu, chcę wyraźnie podkreślić, nie jest to winą naszych przedstawicieli kulturalnych. Wątpię, aby ktokolwiek na ich miejscu mógł coś pożytecznego zrobić. Błąd leży w samej instytucji, a właściwie w skrzywieniu w praktyce pierwotnego projektu, którego autorem był, o ile dobrze pamiętam, min. Kruczkowski. Celem instytucji attaszków kulturalnych miało być początkowo połączenie dłuższych wyjazdów za granicę pisarzy i artystów z wypełnieniem określonych zadań w dziedzinie międzynarodowej współpracy intelektualnej. Przyznanie naszym przedstawicielom kulturalnym oficjalnego stanowiska miało za zadanie jedynie ułatwić im pobyt za granicą i zapewnić pomoc i opiekę naszym przedstawicielstwom dyplomatycznym. W praktyce attaszk kulturalny stał się tymczasem zwykłym urzędnikiem ambasady czy poselstwem, załatwiającym „kawałki” i postawionym w hierarchii grubo niżej od

attasché prasowego. Taka była naturalna kolej rzeczy. Attasché kulturalny ani nie mógł należycie wykorzystać dla siebie pobytu za granicą, ani też wypełnić swojego zadania: nawiązania rzeczywistych kontaktów intelektualnych.

Jeszcze jedną rzecz trzeba podkreślić. Dla kół intelektualnych w Anglii czy we Francji attasché kulturalny jest urzędnikiem Ambasady i niczym więcej. A wiemy dobrze z jaką nieufnością odnoszą się na Zachodzie do oficjalnej propagandy i oficjalnych kontaktów intelektualnych. Stała się rzecz zupełnie przeciwna pierwotnemu założeniu: attasché kulturalny zamiast korzystać z sytuacji uprzywilejowanej, natrafia w praktyce na znacznie większe opory w nawiązywaniu stosunków literackich od pierwszego lepszego pisarza z kraju, który reprezentuje tylko siebie i swoje nazwisko.

Wnioski są jasne: albo należy przekształcić całkowicie instytucję attaszków kulturalnych, albo też wysłać na to stanowisko nie pisarzy i artystów, ale zwykłych urzędników Ministerstwa Kultury i Sztuki, mających pewne doświadczenie i praktykę w technice wymiany intelektualnej.

Stąd, jeśli chodzi o stosunki polsko-francuskie, niezmiernie celowym i pożytecznym okazało się stworzenie w Paryżu instytucji czysto propagandowej — tak zwanego BIP-u (Bureau d'Informations Polonaises). BIP w ciągu półrocznej działalności zrobił bardzo wiele. Posiada aparat, który można i trzeba wykorzystać. Brak mu natomiast jasno pomyślanego programu. Aby BIP rzeczywiście spełnił swoje zadanie wydaje się konieczne, żeby w jego kierownictwie znalazła się chociaż jedna osoba, która lata okupacji — i pierwszy okres wyzwolenia spędziła w kraju. Nie można informować i kierować propagandą, nie wiedząc o tym, co się dzieje w kraju. Bezpośredniego doświadczenia nie może zastąpić i nigdy nie zastąpi lektura pism. To sprawa pierwsza i najważniejsza. A dalej BIP rozporządzać musi należytą dokumentacją w obcych językach.

W czasie konferencji Pokojowej Jugosławianie i Włosi, Bułgarzy i Rumuni, Grecy i Albańczycy zasypywali delegatów i dziennikarzy materiałami propagandowymi, wydawanymi we wszystkich językach. Kiedy zwróciłem się do attasché prasowego Jugosławii o informacje w sprawie Tricstu otrzymałem bez przesady waliż książek tak ciężką, że nie mogłem jej unieść. Kiedy obcy dziennikarze prosili nas o informacje i dane statystyczne o naszych ziemiach zachodnich, nie mogliśmy im prawie niczego dostarczyć.

Nie jest to winą BIP-u. Jest rzeczą wykluczoną, aby można było w Paryżu znaleźć ludzi, którzy by potrafili w sposób wyczerpujący i dostatecznie namiętny pisać o ziemiach zachodnich i najważniejszych problemach współczesnej Polski; książki te i broszury trzeba wydać w kraju w języku angielskim i francuskim. Niewątpliwie Ministerstwo Ziemi Odzyskanych znajdzie na to odpowiednie fundusze.

Jest rzeczą pilną i wielkiej wagi stworzenie w Paryżu poważnego miesięcznika w języku francuskim, który by na wzór angielskich wydawnictw tego typu przynosił przekłady najciekawszych artykułów z pism polskich i dobrze zredagowane informacje. Dotychczas wydawane Cahiers Franco-Polonais są imprezą całkowicie chybioną. Już sam tytuł, przypominający kollaboracyjno-styczne „Cahiers Franco-Allemands”, jest dosyć kompromitujący. Pismo takie, aby spełniło swój cel, musi mieć układ i wygląd miesięczników francuskich. Zapewnić sobie współpracę paru piór francuskich, nie mieć w tytule słowa Polska i być wydawane bez żadnego stempla jakiegokolwiek instytucji propagandowej. To musi być pismo do „czytania”, a nie tylko do reprezentacji. To musi być pismo sprzedawane, a nie tylko rozdawane. Pismo, którego nie redagują urzędnicy.

Sprawa trzecia — to umowa o wymianę kulturalnej polsko-francuskiej. Jak najszybsze zawarcie tej umowy, która zresztą od dawna jest przygotowana, byłoby bardzo pożądane. Dotąd bowiem każda próba nawiązania stałej współpracy kulturalnej natrafia na ogromne trudności z powodu braku nie tylko kredytów ale przede wszystkim odpowiednich norm prawnych. Współpraca kulturalna oparta być musi na zasadzie wymiany i nie możemy pozwolić aby Fran-

cuż dawali nam do zrozumienia, w sposób dyskretny, ale nie mniej dobitny, że traktują ofiarowane nam stypendia i prowadzenie Instytutu francuskiego jako rodzaj jałmużny — „pour la Pologne, pauvre et malheureuse”. Możemy chyba bez większego trudu ofiarować Francuzom stypendia na studia w Polsce. Równie ważne i pilne jest ostateczne oficjalne ukonstytuowanie paryskiej stacji Polskiej Akademii Umiejętności. Wszystkie prace przygotowane są zakończone.

Pozostaje sprawa najżywiej obchodząca środowisko pisarzy — tłumaczenia. Sytuacja jest wyjątkowa; — możemy obecnie bez większego trudu puścić na rynek francuski ze dwadzieścia nowych i starych powieści. Trudności są głównie natury technicznej. Francuzi przyzwyczajeni są do handlowego załatwienia spraw wydawniczych. Musi istnieć w Paryżu, najlepiej byłoby ją stworzyć przy BIP-ie, specjalna agencja, zajmująca się załatwianiem i przeprowadzaniem umów wydawniczych. I to w obie strony. Zawarłem w Paryżu parę umów wydawniczych i muszę przyznać, że bardzo boleśnie uderzyła mnie nieufność Francuzów, wątpliwości, czy umowy te zostaną rzeczywiście dotzymane. Prawo autorskie obowiązuje i musimy stanowczo zrezygnować z korsarstwa wydawniczego i nieuprawnionych przedruków. Takie rzeczy mszczą się bardzo boleśnie. Umowa wydawnicza jest umową handlową. Powoływanie się na przyjaźń i wszelkiego rodzaju sentymentalności tylko nas kompromitują. I odwrotnie, żądać musimy od księgarzy francuskich wydawnictwa utworów z naszej literatury na normalnych warunkach handlowych. Subwencjonowanie czy finansowanie wydawnictw chybia zupełnie celu. Już przedwojenne doświadczenie pokazało, że książki takie spoczywają potem spokojnie w półnicach księgarskich. Warto byłoby natomiast wyposażyć ową agencję wydawniczą w specjalny fundusz na tłumaczenia. Maszynopisy książek, przetłumaczonej na francuski o wiele łatwiej i lepiej można sprzedawać. A wydawcy francuscy, jak wszyscy wydawcy, cenią tylko te rękopisy, za które płacą.

Po paratygodniowym pobycie trudno opędzić się od gorzkich myśli, jak mało robimy, w porównaniu z tym, co można by zrobić aby wprowadzić polską myśl i polską literaturę w obręb międzynarodowego życia intelektualnego.

Jan Kott

W NAJBLIŻSZYCH DNIACH UKAŻE SIĘ PODWÓJNY NUMER 6—7

„MYŚLI WSPÓŁCZESNEJ”

czasopisma naukowego, wydawanego przez grupę profesorów i działaczy kulturalnych w Łodzi.

Na treść numeru składają się następujące artykuły:

Dr Józef Chałasiński, prof. U. Ł. — Tworzenie legendy i naukowe zadania historii. Dr Kazimierz Ajdukiewicz, prof. U. P. — O tak zwanym neopozytywizmie. Dr Jan Szczepański — Interpretacja i rozumienie ludzkiego zachowania. Dr Stefan Jedrychowski, min. Żegluga i Handlu Zagr. — Polityka Gospodarcza Polski w dziedzinie handlu zagranicznego. Mgr Janusz Jezewski — ZSRR jako potęga przemysłowa. Dr Kazimierz Wyka, prof. U. J. — Czas jako element konstrukcyjny powieści. Dr Jerzy Teissier, prof. Sorbony — Mechanizm ewolucji.

Poza tym numer zawiera bogaty dział kroniki i recenzji. „Myśli Współczesna” jest do nabycia we wszystkich księgarniach „Książki” i „Czytelnika” oraz we wszystkich stoiskach „Czytelnika” na dworcach kolejowych.

OSTATNIA NOWOŚĆ

MIROSLAW STAROST

FILOZOFIA PRACY I NARODU

WPROWADZENIE DO ZAGADNIEN POLSKIEGO POGLĄDU NA ŚWIAT

Str. 287

Zł. 390.—

OFICyna WYDAWNICZA

Katowice ul. Młyńska 2
Do nabycia we wszystkich księgarniach

JOHN BERTLOW MARTIN

Pierwsze powojenne lato miasta Muncie

New York, jesień 1946

Stereotyp Ameryki w umyśle przeciętnego Europejczyka składa się z tak mało dla Ameryki typowych elementów jak newyorskie drapacze chmur, chicagowskie rzeźnie, hollywoodzkie filmy, miasto rozwodów — Reno i Al Capone. Tymczasem aby przekonać się, że ani New York, ani Chicago, ani Hollywood nie wyczerpują ani w ułamku Ameryki, wystarczy spędzić w tym kraju kilkanaście tygodni, czytając uważnie dzienniki i rozmawiając z inteligentnymi obserwatorami amerykańskiego życia. Okazuje się wówczas, że Ameryka w wyobraźni ludzi z naszego kontynentu ma równie mało wspólnego z rzeczywistą Ameryką, co Europa w oczach amerykańskiego żołnierza, który spędził w niej w czasie wojny parę miesięcy — z rzeczywistą Europą. Miał „amerykańskiego raj”, specjalnie uporzędkowany wędrując po dzisiejszej zniszczonej Europie i podtrzymywany świadomością dla pewnych celów przez przedstawicieli Ameryki w naszej części świata, szkodzi niewątpliwie obu stronom i przyczynia się wcale do piętrzenia trudności w przywróceniu pokoju zniszczonemu wojną światu.

Ameryka J. B. Martina w niczym prawie nie przypomina naszych stereotypów. Ameryka J. B. Martina to życie małego miasteczka na Środkowym Zachodzie, głośnego od lat dwudziestu dla swej idealnie typowej amerykańskości. Na opisywane bowiem poniżej przez Martina miasto Muncie w stanie Indiana padł w roku 1923 wybór dwójga socjologów amerykańskich Roberta i Heleny Lynd, kiedy szukali terenu do badań nad kulturą i konfliktami społecznymi amerykańskiej „community” miejskiej po pierwszej wojnie światowej. Studia Roberta i Heleny Lynd o życiu Muncie w latach dwudziestych i trzydziestych należą do — klasycznych już dzisiaj — monografií socjologicznych w literaturze światowej i znajdują się chyba w każdej socjologicznej bibliotece każdego uniwersytetu świata. Znanie są i w Polsce każdemu, kto chociażby ubocznie interesował się socjologią. Prac tych jest dwie. Pierwsza — „Middletown — A study in american culture” ukazała się w roku 1925 w wyniku półtorarocznych studiów Lyndów, druga — „Middletown in transition — A study in cultural conflicts” powstała w dziesięć lat po tym w wyniku trzyletnich badań życia Muncie, w których uwzględniono specjalnie wpływ wielkiej depresji gospodarczej lat trzydziestych na życie społeczne małego miasteczka Ameryki. J. B. Martin odwiedził Muncie z ramienia poważnego miesięcznika amerykańskiego „Harpers Magazine” na przełomie wiosny i lata bieżącego roku, aby przyrzeć się jej przemianom, wynikłym z drugiej wojny światowej. Nie była to pierwsza wizyta J. B. Martina w Muncie, Owocem poprzedniej, odbytej wiosną 1944 roku, był artykuł w „Harpers Magazine” pt. „Czy Muncie jest wciąż jeszcze małym miastem?”, który przez szereg tygodni był przedmiotem ożywionych kontrowersji w periodycznej poważnej prasie amerykańskiej. Owocem ostatniej wizyty jest poniższy reportaż, noszący w oryginale tytuł „Middletown in transition” i uważany powszechnie za jedną z najlepszych prób przedstawienia na żywym materiale zagadnień nurtujących prowincję amerykańską roku 1946.

Wybór Muncie jako przedmiotu badań R. i H. Lyndów i celu wypraw J. B. Martina nie był przypadkowy. W przedmowie do pierwszej swej książki Lyndowie wytłumaczyli go obszernie. Spośród stu pięćdziesięciu amerykańskich miast, odpowiadających wielkością naszym Siedlcom, Płockowi czy Cieszanowowi, wybrano Muncie ponieważ najlepiej odpowiadała definicji typowego miasteczka amerykańskiego. Muncie jest miastem położonym w centrum Stanów, w którym zbiegały się zawsze dwa strumienie wędrowców na Zachód — Yankesów z północno-wschodniego wybrzeża Atlantyku i emigrantów europejskich z Irlandii i środkowej Europy. Muncie to miasto o dużym dynamizmie rozwojowym, miasto przemysłowe, wyrosłe w okolicy wyraźnie rolniczej, a więc teren zarówno konfliktów wewnętrzno-miejskich jak i miejsko-farmerskich. Muncie to miasto, posiadające kilka a nie jeden wielkich zakładów przemysłowych, a więc mające ludność zróżnicowaną zawodowo. Wreszcie to miasto pozbawione prawie zupełnie świeżych emigrantów z Europy, o niewielkim procencie murzynów i leżące w takiej odległości od najbliższego wielkiego miasta, że pozwoliło mu to na zachowanie odrębnego małomiastecznego oblicza gospodarczego i socjalnego. Historia tego typowego amerykańskiego „Middletown” nie jest ani długa ani skomplikowana. Sprowadza się właściwie do dwóch dat: pierwszej — roku 1827, daty powstania Muncie, założonej przez pionierów z Wschodu i drugiej — roku 1886, kiedy odkrycie złóż gazu ziemnego w stanie Indiana przekształciło tę napoły farmerską osadę w miasto przemysłowe. W ostatnich latach, już po ukazaniu się drugiej książki Lyndów o Muncie, miało miejsce w Muncie wydarzenie nie mniej ważne dla dziejów miasta od obu wyżej wymienionych. W roku 1937 po krwawych zaciągach strajkowych robotnicy przemysłowi Muncie zorganizowali się wreszcie mimo oporu przemysłowców w związek zawodowy i w miasteczku powstał pierwszy komitet lokalny CIO (Confederation of Industrial Organizations). Od tej chwili nurtu-

jący pod powierzchnią życia Muncie konflikt między kapitałem i pracą ujawnił się całkowicie i stał się, co widać w obu artykułach J. B. Martina, najważniejszym zagadnieniem małomiasteczkiej społeczności Muncie.

Obraz Muncie 1946 roku może poważnie zachwiać wyobrażenia części posłkich czytelników o życiu współczesnej Ameryki. Wykazuje bowiem, że po drugiej stronie Atlantyku, w kraju, którego ustrój dla wielu Europejczyków wydaje się dzisiaj „utraconym przez Europę rajem” przebiegają nie obce Europie procesy społeczno-gospodarcze, które — o dziwo — zarówno Muncie jak i całą Amerykę obchodzą znacznie bliżej niż mowy amerykańskich polityków i posunięcia amerykańskich dyplomatów. Wolna inicjatywa czy planowa gospodarka, zorganizowana praca w walce z samowolą kapitału, spółdzielczość czy prywatne pośrednictwo w handlu między farmerami i miastem, groźba inflacji i kłopoty towarzyszące przejściu od gospodarki wojennej do pokojowej, wreszcie sprawa powrotu do cywilnego życia milionów byłych żołnierzy — oto czym żyje dzisiaj amerykańskie miasteczko, położone o tysiąc mil na zachód od New Yorku. Żyje nim w odpowiedniej mu skali, ale bardzo podobnie wygląda powszechnie życie setek małych i większych miast między Atlantykiem i Pacyfikiem; a kłopoty farmerów spod Muncie są kłopotami milionów amerykańskich farmerów. Ponad wszystkim unosi się wszechpogny strach przed nowym kryzysem gospodarczym, jako że o poprzednim z lat trzydziestych jako o klesce znacznie dotkliwszej od Pearl Harbor nie zapomniano dotąd w Ameryce. Prawie każdy tedy mieszkaniec Muncie, choć nie czytał nigdy Marksa i nie słyszał nic o cykliczności depresji gospodarczych w świecie kapitalistycznym, oczekuje jego nadejścia pewnego dnia.

Foreign policy begins at home — polityka zagraniczna rozpoczyna się w domu — oto tytuł głośnej przed paru miesiącami w Stanach książki jednego z liberalnych publicystów. Polityka zagraniczna Stanów zaczyna się w setkach Muncie i opinie, problemy i troski, o których mówią J. B. Martinowi mieszkańcy pięćdziesięcioletniego miasta w Indiana, wprowadzają — jak wprowadzały zawsze, znaczne poprawki do posunięć Waszyngtonu na dyplomatycznej szachownicy świata.

Artykuł J. B. Martina wart jest uważnego przeczytania zwłaszcza dla tych, którzy piastują wciąż „wojenne złudzenia”. Winni go przeczytać i ci także, którym wydaje się, że dzisiejsza Ameryka interesuje się szczególnie Warszawą, Wiedniem czy Atenami. Z artykułu J. B. Martina, podobnie jak z wielu innych poważnych analiz życia Ameryki pierwszego roku po wojnie, wynika bowiem coś wręcz przeciwnego. Setki amerykańskich Muncie żyją tylko i jedynie własnymi sprawami i kłopotami. Mają ich, jak okaże się poniżej, wystarczająco wiele.

Mieczysław Wionczek

I.

W POŁUDNIE, kiedy dziekan miejscowego college'u wioził mnie autem w dół miasta, siał gęsty deszcz. Na wąskich ulicach panował ożywiony ruch. Dziekan zagadał:

— Mówi się tutaj, że ulice dlatego są tak wąskie, ponieważ niegdyś była w tym miejscu puszka orzechowa, a że orzech włoski ma twarde pięć, pionierzy wycinali w niej tylko wąskie ścieżki. — Oczywiście błyszczały, kiedy się śmiał. — Oczywiście musiało to wywrzeć swój wpływ i na naszą umysłowość — dodał.

Zaparkowaliśmy samochód i rektor wysiadł pierwszy. Poły jego nieprzemakalnego płaszcza trzepotały na wietrze kiedy zmierzał przede mną wielkimi krokami ku wyspce przystanku autobusowego na środku jezdni i stamtąd ku kolumnadzie Narodowego Banku Handlowego, pod osłoną której zostawił mnie własnemu losowi.

Objasnilem wiceprezydentowi banku, panu C. C. Wingata, cel mojej wizyty. Chciałem dowiedzieć się, co się dzieje w Muncie po zakończeniu wojny. Ruchliwy wicedyrektor w szarym garniturze odpowiedział mi uprzejmie, że sprawy w Muncie przedstawiają się całkiem dobrze. Nikt nie wycofał oszczędności z banku, bezrobocie było minimalne, wojna nie zmieniła prawie oblicza miasta. A jednak, jeśli idzie o ludzi, „to ogólnie biorąc, nie wiedzą co robić; często słyszę jak skarżą się — Niech mnie diabli wezmą, jeśli wiem dokąd zmierzamy”!

— Czy martwią się problemami międzynarodowymi?

— Chyba nie. Interesują się bardzo sprawami lokalnymi. Jeśli idzie o zagadnienia międzynarodowe — prawdę mówiąc, jest to bardziej skomplikowane. Zdaniem wice-

dyrektora Wingata, ludzie w mniejszym stopniu są izolacjonistami, niż byli przed wojną. On sam także skłaniał się ku izolacjonizmowi, ale „teraz wszystko to tworzy jeden świat, od którego nie ma ucieczki”. Powiedział to serio z odcieniem żalu w głosie.

W niedzielę po południu, kiedy deszcz ustał ludzie z pobliskich farm i z miasta siedzieli w samochodach zaparkowanych przy Walnut Street, przyglądając się tłumowi przechodniów. O czym mówili teraz, kiedy już nastał pokój? Młody zdemobilizowany niedawno żołnierz, w wojskowych spodniach i cywilnej sportowej marynarce, oparłszy nogę o błotnik samochodu swego przyjaciela mówił doń:

— Obszedłem dziś całe miasto i nigdzie nie dostałem kombinizonu.

Nad jego głową powiewał wdzięcznie transparent: „Jeśli chcesz mieć dość żywności UPRAWIAJ ZIEMIĘ” (teraz podobnie jak w czasie wojny mieszkańcy Muncie uprawiali jarzyny na każdym wolnym kawałku ziemi w mieście). Przed sklepem Steelmana, zgodnie z szyldem będącym „SKLEPEM oszczędnych klientów”, jakiś wysoki jegomość tłumaczył dwu przysiadkowatym postaciom, trzymającym teki w rękach: „Nie mam nic przeciw temu, żebyśmy żywili ludność całego świata, ale dzieje się to za pieniądze, pochodzące z płaconych przez mnie podatków i...” Dwie niewidome żebraczki zagłuszyły koniec jego zdania wołaniem: — Pamiętajcie o darach Bożych, pomyślcie o dobrych uczynkach!

Jakiś tłuszcioch w czarnym kapeluszu, granatowym ubraniu i czarnym nieprzemakalnym płaszczu, którego rozchylone klapy ukazywały koszulę w paski, stał z wypiętym brzuchem, opierając się plecami o jedną z wystaw magazynu Woolwortha i tłumaczył swemu towarzyszkowi: — Potrzebny nam jest rząd. Nie mamy go właściwie — zdawało nam się, że mamy demokrację, ale okazało się, że nie mamy wcale rządu. Żeby tak oddać losy kraju w ręce takiego człowieka jak John L. Lewis”!

W sklepie braci Ball po przeciwnej stronie ulicy nie było tłoku. „Nie możemy dostać towaru na sprzedaż” — tłumaczyli ekspedientci. Sklep z konfekcją męską Richeya miał na składzie niewiele koszulek sportowych i parę koszul numer 43. Połowa ich była w jedwabne prążki i można je było nabyć w cenie 5 dolarów 95 centów za sztukę. Ale na wystawie sklepu z wyrobami żelaznymi Ballarda stały już błyszczące garnki i patelnie (nie zapomnijcie jak trudno o metale). W składzie Kirka był duży zapas przyborów rybacczych, a kilka innych sklepów wypełnionych było nowiutkimi stolikami kartanymi wraz z krzesłami i napisami reklamowymi: „Komplety do bridge'a. Model powojenny. Produkcja miejscowa”. Wyrabia je to samo przedsiębiorstwo, które przed kilku miesiącami fabrykowało amunicję rękami robotników z Kentucky i Tennessee. Czyż nie są to owoce pokoju?

Z fabryki maszyn, gdzie szum i zgrzyt był niemniej głośny niż w czasie wojny zamiast podwozi do armat i miotaczy granatów wywożono lśniące silniki do motorówek i mocne maszyny okrętowe. Niewiele kobiet pozostało jeszcze przy maszynach. Większość wróciła do gospodarstwa domowego, albowiem mężowie powrócili z wojny. Z dwustu pięćdziesięciu pracowników, pięćdziesięciu trzech to zdemobilizowani żołnierze.

Nie spotyka się już na ulicach kobiet z towarzystwami, które w czasie wojny w spodniach i marynarkach chodziły codziennie do fabryk. Dziesięcioletni chłopak przepychał się gwałtownie przez tłum — miał na sobie połową kurtkę starszego brata, na której jeszcze były ślady podoficerskich dystynkcji. Gromada mniejszych chłopków podążała za nim, gapiąc się na kurtkę z zardością. W drugstworze” Meyera dwaj byli żołnierze sącili przez słomki czekoladę, a w budce telefonicznej gazeciarz i jego dwaj koledzy porządkowali stos biletów loteryjnych. Będą mogli wygrać na jeden z nich shotlandzkiego konia. Tak wyglądał pokój. Ale może wyglądać nieco inaczej: kiedy jakiś starsuszek idąc ulicą powiedział: „Napiliśmy się piwa” towarzyszył odpowiedział mu na to: „Cóż, kiedy nigdzie go nie dostaniesz”. Tak trudno było o piwo, że większość tawern otwiera się dopiero po czwartej i sprzedaje piwo dopiero od szó-

stej albo i od ósmej. W nowym lokalu „Flamingo” barman narzekał na brak lodu bez którego nie można robić cocktailów: „niech mnie szlag trafi, jeśli łatwo jest dostać lód”. Elektryczna pianola grała. „I am a big girl now” i spośród ośmiu zajętych stolików dwa obsadzone były przez samotne dziewczęta. Barman zauważył: — „Kobiety nie przychodzą tak często jak dawniej. Myślę, nie przychodzą same. Mężowie powrócili do domu”. Ktoś inny powiedział: „A ci lubią włożyć się zaraz całą paką”.

Na obiad jedliśmy pierwszorzędną befsztyki: pewnie pochodzą z czarnego rynku — powiedział mój przyjaciel. Potem opowiadał o trudnościach mieszkaniowych, o co uwierzyłem bez trudu. Kiedy zajeżdżałem do hotelu Robert zamówiwszy telefonicznie pokój na tydzień przedtem, portier powiedział mi, że jestem sześćdziesiątym szóstym gościem na liście amatorów pokoi, których nie ma. Z nastaniem wiosny wielu komiwojażerów rozpoczęło podróże. OPA³⁾ nie zezwalała na podnoszenie komornego ratuje nam życie” — powiedział mój przyjaciel — „To jedyna strona kontroli cen, która się wszystkim podoba”. Ale za to właściciele domów nie wynajmują mieszkań, tylko sprzedają domy. Jeśli ktoś wyprowadza się z miasta, co najmniej tuzin znajomych gotowych jest wprowadzić się do jego mieszkania, z mieszkań, które dotychczas dzielili musieli z innymi rodzinami.

Mój towarzysz uklonił się jakimś miłącym nas ludzkiem. — „Wszyscy mówią tylko o kwestii mieszkaniowej, o strajkach, o niczym innym — powiedział — a nie o żadnych wydarzeniach międzynarodowych”. Opinia publiczna przeciwna była pożyczce brytyjskiej. „Mówią, że gdybyśmy byli głodni, Europa nas nie nakarmiłaby. I to jest prawda”. Przed kilku miesiącami mówiło się o wojnie z Rosją, dziś się już o tym nie mówi. Po prostu ludzie mają tyle własnych kłopotów na głowie, że nie mają czasu na poświęcanie uwagi innym sprawom”. Mój towarzysz był zdania, że wewnętrzne tempo życia ludzi ulega zwolnieniu. Zwykła powojenna reakcja.

Dwa lata temu, w związku z kilku dokonanymi i kilku usiłowanymi gwałtami, tłum udał się nocą do dzielnic murzynińskiej. Wybrani z tłumy delegaci przetłuszczali dom murzyna podejrzanego o przestępstwo. W ciągu kilku tygodni napięcie wzmagalo się, ponieważ ze względu na brak rąk roboczych poprawiono czarnym warunki pracy i przybyli także nowi biali robotnicy z Kentucky i Tennessee⁴⁾. Mayor miasta i władze cywilne potępiły wystąpienia tłumy. Przeprowadzono dochodzenie i zapadł jeden czy dwa wyroki. Potem wszystko uciхло samo z siebie.

Kelnerka przyniosła rachunek za dwa obiady: pięć i pół dolara. Chociaż dochodziło już wół do ósmej, na ulicy wciąż jeszcze było jasno. Poszliśmy Walnut Street w dół. Zwróciłem uwagę na to, że bar „Downtown” nie był tak zatłoczony jak wtedy, kiedy posilała się w nim nocna zmiana robotników przemysłu wojennego. Podłoga tego lokalu nie była ani w części tak zaśmiecona jak wówczas. „Ludzie już nie podniecają się alkoholem tak chętnie jak dawniej, mniej się marwią tym co się stanie w przyszłości. Miasto jest znacznie spokojniejsze”.

Niemniej jednak sala klubowa CIO⁵⁾ na jednym z górnych pięter gmachu Benadum była zatłoczona. Przy naszym stoliku, gdzie siedziałem z przywódcami związków, musiałem mówić podniesionym głosem, aby zagłuszyć zgrzyt ośmiu automatów, przy których hazardowała się większość obecnych. Ed Crago zapewnił mnie że UAW⁶⁾ wysłała obronną ręką ze strajku, ciągnącego się przez całą zimę. Krótko po zakończeniu wojny z Japonią zaczął się strajk w fabryce Warnera. Potem przyłączyli się doń robotnicy Chevroleta i Delco. Crago powiedział: „Na ogół opinia publiczna była z nami. Oczywiście wszędzie trafiają się reakcjonści. Ale my tutaj nie odczuwamy skutków strajku w General Motors”. Zapytałem go czy sądzi, że CIO może utrzymać swoje przedwojenne i wojenne zdobycze. Odpowiedział, że nie widzi powodu, dla którego miałyby to być niemożliwe. „Po ostatniej wojnie przemysłowcy rzucili się na zorganizowanych robotników. Tym razem myśm ich zaatakowali pierwsi”.

W hału klubu kombatantów z frontów zamorskich automaty bilardowe i elektry-

czne pianole pracowały bez przerwy. Młodzie weterani ostatniej wojny chwalili sobie swoją sytuację gospodarczą; wracali do dawnej pracy albo znajdowali lepszą, wracali do szkół wszędzie witano ich serdecznie. Oczywiście niektórym powodzi się gorzej, ale gdyby nie służyli w wojsku, nie byłoby im pod żadnym względem lepiej. Czy interesują się strajkami? Oczywiście. „W mieście zdobyliśmy wielu wartościowych ludzi dla związków zawodowych”. Co sądzą o Organizacji Narodów Zjednoczonych? „Nie interesują się tym. Są szczęśliwi, że są wreszcie w domu”.

Co robili inni Mieszkańcy Muncie, tej letniej nocy pierwszego roku pokoju?

W sali hotelu Robert, orkiestra grała przeboje „I'm a big girl now” i „Prisoner of love”, a dziewczęta z miejscowego seminarium nauczycielskiego słuchały muzyki oparte o poręcz balkonów. Właśnie w tej chwili schodzą na salę po schodach, trzymając pod ręce młodych ludzi, w których towarzystwie przyszły na dancing. Są w białych sukniach i czarnych długich rękawiczkach, i wyglądają tak uroczym i młodo, jak tylko młode studentki o tej porze roku wyglądać potrafią. Niewielu tylko chłopców przypomina Niemców i chudych młodzieńców z prowincjonalnego miasteczka, niepewnie poruszających się w wieczorowych ubraniach, jakich pełno na studentkach herbatkach w College'ach w Indiana. Większość z nich to raczej dojrzały mężczyźni o poważnym wyrazie twarzy. Niektórzy z nich byli ranni. Zabawnie jest patrzeć na przysadkowanego jegomością w tweedowym garniturze, który ściskając jedną ręką wymiętoszoną zabawkę, w drugiej ręce trzyma białą różę. Z kieszeni jego wystaje program tańców, z którego zwisają końce błękitnego sznurka.

Znajomi, którzy zaprosili mnie tego wieczora, wyszli ze mną o dziesiątej, i pojechałszy za miasto do klubu miejscowej arystokracji finansowej. Większość członków klubu, wypiszy w domu coś niecoś, przybyła tu przed dwudziątą. Bar na pierwszym piętrze miał nagie ściany i niewiele stolików. Pełen był głośniejszych rozmów, stukotu i muzyki ośmiu automatów nie różniących się niczym od automatów w klubie weteranów i w klubie CIO.

W latach dwudziestych klub ten w przeciwieństwie do innych klubów w Indiana, nie posiadał baru. Fakt ten był wynikiem wpływu purytańskiej rodziny Ball, do której należała wielka fabryka szklanych słoików pod miastem. Czyż zmiana jaka zaszła na tym odcinku nie jest symbolem zmniejszenia się wpływu tych fabrykantów kich kół w Muncie? Pewien przemysłowiec powiedział mi: „Ach, żeby pan wiedział, jaką mieliśmy prosperitę, gdyby nie przekłete strajki!” Późem zmienił dziesięć dolarowy banknot na bilon i stanął w ogonku do pięćdziesięciocentowego automatu. Dzisiejszej nocy nikt się nie martwił. Przyszli tu żeby się zabawić, żeby potaćzyć i popić. I zostawić trochę pieniędzy w automatach. Wojna skończyła się i cieszyli się, jak cieszą się wszyscy ludzie na całym świecie z końca wojny. Można się wreszcie było bawić swobodnie, nie odczuwając przy tym mglistych wyrzutów, że bawi się w chwili, kiedy inni giną. Roczna składka członkowska wzrosła w ciągu zimy z czterystu do pięćset pięćdziesięciu dolarów. W kątach stały wielkie, nowe piece gazowe. Słychać było śmiech, padały stare, przybłąkane żarty. Mówiło się o planach wycieczkowych. O rybołówstwie i o tym jak trudno dostać gazowe pończochy.

Kiedy wróciłem po północy do hotelu Roberts, służące sprzątały hall, a portier spał w wysłanym fotelu.

WYJAŚNIENIA

¹⁾ John L. Lewis, przywódca United Mine Workers of America (związku zawodowego górników amerykańskich), liczącego około siedemset tysięcy członków.

²⁾ Drugstore — typowe dla Ameryki połączenie kawiarni, sklepu aptecznego i sklepu z przybarami piśmiennymi, ulokowane zwykle na rogu ulicy.

³⁾ OPA (Office of Price Administration) — federalna instytucja, zajmująca się kontrolą cen.

⁴⁾ Kentucky i Tennessee — południowe stany Ameryki, skąd w czasie wojny wielkie ilości tanich niewykwalifikowanych robotników przemysłowych przybyło do zindustrializowanych stanów wschodnich i północnych.

⁵⁾ CIO (Confederation of Industrial Organizations) — jeden z dwóch obok Amerykańskiej Federacji Pracy związków zawodowych w Stanach, liczący ponad siedem milionów członków.

⁶⁾ UAW (United Automobile Workers) — związek zawodowy pracowników przemysłu samochodowego, największy związek zawodowy amerykański posiadający ponad milion członków, należący do CIO.

H. E. MICHALSKI

„PIÓRO NA WICHRZE”*)

W twórczości Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego tematyka związana z Warszawą zajmuje tak poczesne i charakterystyczne miejsce, że bez przesady można mówić o jego wierszach jako o należnym trybunie i holdzie złożonym rodzinnemu miastu poety. Stolica ukazuje się jednak tutaj w innym świetle, niż ukazywała się w dotychczasowej naszej tradycji literackiej, żeby przypomnieć Prusą, Or-Ota czy Światopełkę Karpińskiego. Jest to Warszawa przedmieść, proletariackiego Powiśla i Woli, Warszawa nędzy i buntu, patriotyczna i klasowa. Z tej właśnie treści tradycji wolnościowych i rewolucyjnych bierze swój początek zasadniczy motyw twórczości Dobrowolskiego — motyw społeczny, który czyni ją manifestem gniewu i ożreżem walki, motyw coraz wyraźniejszy w miarę krystalizowania się i krpnięcia poety, stający się wreszcie motywem określającym jego poezję.

Wiersze wybrane „Pióro na wicherze” obejmują utwory z okresu prawie dwudziestoletniego, od najwcześniejszych do ostatnich. Temowi temu przypada zatem rola retrospekcji, rola podsumowania dotychczasowego dorobku. Podsumowanie takie było bez wątpienia potrzebne: daje ono nie tylko pełny obraz przemian, jakim poeta podlegał na przestrzeni dwudziestolecia, ale równocześnie wyraża całą ambicję i konsekwencję jego bynajmniej nie łatwego i upartego rozwoju.

Dobrowolski debiutował jako aktywny członek grupy poetyckiej „Kwadręga”, która skupiała w okresie międzywojennym szereg poetów drugiego, poskamandryckiego pokolenia. Działalność tej grupy podjęta była jako protest przeciwko bezideowej twórczości Skamandrytów i jako szukanie nowych dróg przez wprowadzenie do poezji tematów społecznych. Nurt społeczny „Kwadręgi” nie miał jednak wyraźnego i skrytalizowanego charakteru. Były w nim tylko namiastki typowego liberalizmu mieszczańskiego, rozluźnianego w modnych w tamtym okresie ideach humanitaryzmu i pacyfizmu, bez zajęcia jednak zdecydowanej postawy wobec rzeczywistości i bez wyciągnięcia zdecydowanych wniosków. Nie służyło to do wytworzenia dostatecznej więzi skupiającej i zawieszającego ten program społeczny niejako w próżni. Z tego też zapewne powodu po kilkuletniej działalności „Kwadręgi” jako grupa rozpadła się.

Ciekawą rzeczą — na tle tego społecznego nastawienia „Kwadręgi” utwory Dobrowolskiego z tamtego okresu, ujęte w wydany w 1929 roku zbiorek „Pożegnanie Temopoli”, a powtórzone w wierszach wybranych w cyklu „Juwenilia”, nie wykazują prawie wcale tego charakteru, który będzie cechował utwory późniejsze. Nute, która w nich przebiega, można nazwać chuligańska — tyle tutaj zawadiactwa, nieokreślonego porywu radości z wesołej kompanii, a przy tym, jak sam poeta wyznaje, „dźwięnie się nieplecie melancholia z hultajstwem”. Ten ton Villonowski, Rabelaisowski czy Marchowski, nieshamonizowany jeszcze w okresie początkowym, nie znika w

*) St. R. Dobrowolski „Pióro na wicherze”. Wiersze wybrane. Sp. Wyd. „Wiedza” Warszawa, 1946.

KAZIMIERZ BRANDYS

„KOBIETY Z LIMBACH”*)

Trudem pisarza jest ukazanie losu człowieka poprzez dobór i kompozycję opisanych zdarzeń. Dramat przedstawionych faktów wykorzystuje cechy artystyczne dopiero wówczas, gdy staje się aluzją. Aluzja — do czego? Odpowiedź nie może być zbyt precyzyjna, aby pozostać prawdziwą: aluzja do praw stawiania się, które dostrzegł autor w świecie. Jeśli prawa te dostrzeże fałszywie, twórczość jego zachowa cechy fałszu.

Cechą książki Wandy Żółkiewskiej jest skromny zamiar artystyczny, lecz wymowa utworu szczęśliwie ten zamiar spełnia. Autorka dostrzegła w swych przeżyciach okupacyjnych doświadczenie ludzkie ukrwte w warstwie zdarzeń. Podjęła trud ich doboru i kompozycji, aby to doświadczenie potwierdzić. Nie wdając się w analizę środków formalnych użytych w tym celu nie sposób zaprzeczyć, iż aspekt rzeczywistości ukazany w książce Wandy Żółkiewskiej posiada cechy nowe i prawdziwe.

Nie jest to książka o obozach, nie trzeba szukać w niej martyrologii, pejzaż, w którym się rozgrywa akcja wolny jest od kominów „fabryk śmierci”. „Kobiety z Limbach” już przez to różni się od „Kobiet z Ravensbrück” czy „Dymów nad Birkenau”. Różnica ta, wynikająca z różnicy sytuacji faktycznej (obóz koncentracyjny — praca w fabryce) przynosi dalsze odmienności — natury artystycznej.

Autorka wybrała dla swych przeżyć formy listów. Listów pisanych do nieznanego mężczyzny, w których dzieje po dniu narasta tok powszedniego życia kobiet na robotach w Rzeszy. Listy te pisane są po prostu, informują o sprawach w miarę dziania się, niemal w równoczesnym trybie. Przy uniknięciu potocznych trywialności, narracja dba o typ relacjonujący zdarzenia najwyklesze — w sposób najwykleszy. Ktoś w tych listach zwierza się, współczuje, narzeka przed kimś, kogo nie znamy nawet z imienia — ale ten anonimowy adresat spełnia tu rolę środka artystycznego i legitymuje ów bezpośredni prosty, ciepły ton

*) Wanda Żółkiewska „Kobiety z Limbach” Sp. Wyd. „Książka”, str. 159, r. 1946.



Stanisław Ryszard Dobrowolski

późniejszej twórczości i musi być uważany za jedną z głównych cech temperamentu poetyckiego i stylu Dobrowolskiego.

Krystalizacja tej wrzacej magmy, jakiej wrażenie narzucają początkowe utwory tego poety jeszcze dzisiaj, nie była procesem prostym ani łatwym. Wiersze następnych tomików „Autoportret” (1932), „Wróżby” (1934) i „Nad Norwidem” (1935), których wybór w „Piórze na wicherze” tworzy cykl „Romantycznie”, „Pamięty” i „Nad Norwidem”, przypominają drogi uporczywych i ambitnych poszukiwań poety. Poszukiwania te odnosiły się nie tyle do zakresu techniki poetyckiej, ile szły w kierunku znalezienia właściwej postawy. Wynikiem poszukiwań były osiągnięcia w postaci wzruszających liryków, były jednak również i potknięcia. Do takich potknięć zaliczam wypad w stronę Norwida (który zresztą w owym okresie przeżywał modę drugiego renesansu), gdyż między hieratyczną i intelektualną poezją norwidowską, a skierowaną ku prostocie wyrazu i wynikającej z bezpośredniej emocjonalności poezji Dobrowolskiego trudno dopatrzeć się punktów stykowych.

W roku 1936 ukazał się poemat „Powrót na Powiśle”. Stanowi on w rozwoju twórczym Dobrowolskiego punkt ważny, przełomowy. „Nie wieść mi snobów w mnych poetyckich knajp srebrny miewód” — wyznaje na wstępie poeta w świadomości dokonanej w jego postawie twórczej przeobrażenia. Istotnie, poemat ten oznacza całkowicie świadome podjęcie przez Dobrowolskiego powołania poety społecznika, któremu zostaje oddać już wierny na zawsze. W świadomości tego przeobrażenia wskrzesza niebawem poeta „Nową

Kwadręga”, która, skupiając wokół siebie pisarzy o nastawieniu społecznym, manifestuje już w przeciwstawieniu do niezdeterminowanej dawnej „Kwadręgi” bojową treść walki o sprawiedliwość społeczną. To właśnie była ta droga, której poeta długo i mozolnie szukał i na której talent jego skryształizował się i dojrzewał.

W poemacie „Powrót na Powiśle”, potraktowanym technicznie w formie lirycznych fragmentów, wraca poeta wspomnieniami w kraj swego dzieciństwa, na warszawskie Powiśle, na Wolę. Daleki jest jednak ten kraj lat dziecięcych poety od sielanki. Nad wspomnieniami ciąży atmosfera nędzy robotniczych przedmieść, chociaż zarazem uskrzydla je pamięć bohaterstwa warszawskiego proletariatu, jego patriotyzm i jego poryw w walce o zrealizowanie idei sprawiedliwości społecznej. Jak antyczny Anteusz odradzający się przy dotknięciu ziemi, Dobrowolski w tej właśnie atmosferze znajduje siebie i swoje powołanie poetyckie. Ze względu na formę poematu obraz jest fragmentaryczny i w pewnym mierze nazbyt potraktowany od strony wizualnej, dekoratywnej, niemniej „Powrót na Powiśle” zostanie w naszej poezji jako pierwsza próba na większą skalę odmalowania rewolucyjnego porywu mas robotniczych w pamiętnym roku 1905.

Następnym utworem Dobrowolskiego był wydany w 1937 r. poemat epicki „Janosik z Tarchowej”. Ten utwór wyrósł również ze społecznych tendencji. Była to próba, jako pendant do „Słowa o Jakubie Szeli” Brunona Jasińskiego, mitologizowania Janosika na jednego z prekursorów rewolucyjnego ruchu społecznego w Polsce. O ile już w odniesieniu do Szeli podobna próba budziła poważne zastrzeżenia, tym bardziej musiało je budzić pasowanie na szermierza sprawiedliwości społecznej zbrojnickiego Janosika. W formie tego poematu doszły do głosu obserwowane już poprzednio u Dobrowolskiego skłonności do stylizacji. Tutaj stylizacja na kanwie języka góralskiego jest powściągliwa i zręczna, odznacza się momentami bardzo udatnymi, ale wymowa jej jest bądź co bądź jedynie wymową stylizacji.

Tom „Pióro na wicherze” zamyka tytułowy cykl liryków, napisanych w latach 1935 do 1945. Odnajdujemy w nich te cechy, które są dla twórczości Dobrowolskiego charakterystyczne: patetyczna i namiętna emocjonalność, prostota i celność sformułowań, skupiony i wartki rytm manifestu i wezwania. Pod względem formalnym poezja Dobrowolskiego nie oznacza się wynalazczością, kształtowała się ona w kręgu estetyki, wspólnej dla wielu poetów jego generacji, powstałej z przeobrażenia wpływów stylu Skamandrytów, niemniej trzeba stwierdzić, że Dobrowolski posiada swój indywidualny samorodny, nikogo nie przypominający i zniwelujący często sugestywnością wyraz. Jego osiągnięcia twórcze, które tom wierszy wybranych pozwala tym wyraźniej ocenić na tle długiej i niełatwej drogi rozwojowej, wyznaczają mu we współczesnej poezji polskiej odrębne i zawarowane miejsce.

H. E. Michalski



Wanda Żółkiewska

relacji, o tyle żywszy, niż schemat reportażu. Podpis pod każdym listem, podpis, który jest imieniem autorki, służy tej samej sprawie — zbliża do nas przedstawione zdarzenia i pozwala je odczytać w ludzkim, żywym kształcie, zastępuje trudne zadanie fikcji konstrukcyjnej w drodze może łatwiejszej, ale napewno nie trywialnej i nie pozbawionej szlachetności.

Jeśli wspominałem, że kształt artystyczny tej książki jest skromny, mam na myśli właśnie ową rozwiązłość formalną, którego prostota nie jest jednak pójściem po linii naj-

mniej oporu, lecz raczej po linii najmniejszych niebezpieczeństw. W relacji o „Kobietach z Limbach”, która szczęśliwie okraja trudny fikcji powieściowej, a jednocześnie unikła szablonu reportażu, znajdujemy przecież fragmenty obdarzone prawdziwym pięknem artystycznym, obrazy literackie, zdania o dobrej dźwięczności kadencji. Ten debiut zdradza symptomy zjawiska, nazywanego talentem; zjawiska, które jednak musi odbyć swą drogę i spełnić liczne obowiązki, aby z zapowiedzi, z możliwości, z zadatków — uzyskać pełnię realizacji.

Są w tej książce znamiona, które pozwalają wierzyć w pomyślny rozwój dalszej twórczości autorki. Jest przede wszystkim kontur osobowości, jeśli nie artystycznej, to osobowości nasycającej narrację swą treścią psychiczną tak bogato, że po przeczytaniu tych listów, na których nie stworzono przecież koncepcji intelektualnej dużego formatu, odnosi się wrażenie zetknięcia z ostro wyrażonym poglądem na świat. Te funkcje spełnia niewątpliwie vitalność postawy ludzkiej otwarta afirmacją świata, zdumiewająca ciekawość wobec wydarzeń, przenikające prozę Żółkiewskiej. W tych listach, kreślonych w Limbachu, ukazany jest szczerze każdy urok istnienia, doświadczenia każda radość i piękno, jakie nie zostały temu istnieniu odjęte. List ten, mój jedyny, poświęcam Limbachowi bo Limbach jest uroczy. Waskie, kamienne, przezroczyste uliczki coraz zbierają się i rozbiegają w kilku kierunkach... Jeśli przy zachowaniu tego stosunku do świata, świat jest przedstawiony nierzadko, z nieumniejszoną sumą zła, jeśli zostały w tej książce znalezione środki, dzięki którym te dwa widzenia rzeczywistości spełniały się wzajemnie — jest to niewątpliwie cechą osobowości literackiej, nie tylko psychologicznej.

Limbach jest bowiem uroczy, ale w Limbachu dzieją się sprawy okrutne, którym autorka umie nadać w powszedniej relacji swych listów niepowodzeni charakter ich ludzkiej wymowy. Jest to w tym wypadku o tyle mniej łatwe, że nie ponosi obrazami anaratuzy niemieckiego niszczenia, które w literaturze

ostatnich miesięcy tak łatwo i tak często zastępują istotne środki artystyczne. Powszechność — jest cechą opisaną tu rzeczywistości. Proces niszczenia jest powolny, drobny, zniszczenie zresztą nie jest celem — celem jest eksploatacja sił ludzkich. Dramat jest przez to trudniejszy do literackiego przedstawienia: nie ma komór gazowych, katowania, egzekucji — jest wegetacja, której nędza i trud, mniej jaskrawe i jawne, mniej są przez to uchwytne dla pióra.

Tym ciężkim doświadczeniem autorka przedstawia grupę ludzką, i nie ukazuje jej tylko, jako obiekt poddany ich działaniu przez konieczność losu, ale przeciwstawia im ją jako podmiot, jako siłę duchową, wyposażoną przede wszystkim w naturalny system obrony, który jednocześnie jest artystycznym systemem tej książki; w vitalność, w odpór biologiczny, w instynktowne przywiązanie do dóbr moralnych. Jest to niewątpliwie najcenniejsza wartość „Kobiet z Limbach” — ów dar dominowania upadków i upokorzeń robotniczej wegetacji przez wiarę w najpomyślniejsze dla człowieka imponderabilia praw przyrody i ludzkości, najpomyślniejsze, a nieraz nawet naiwne — jak urok wiosny czy Świat Bożego Narodzenia.

Najlepszy akcent konfliktu wydobyty jest w celnie dobranym momencie. Jeśli fakt, że moment prawdziwej klęski kobiet z Limbach nastąpił dopiero z wkroczeniem armii alianckiej przypisać należy w tej książce wierności prawdziwej historii — nie mniejszą to artystycznej wartości fragmentów związanych z tym okresem.

Są to fragmenty w książce najlepsze. Najlepsze — bo ukazujące w niezmiennym toku narracji nagły załom w stawianiu się faktów i treści.

„Na parterach i piętrach przycz, z oczyma wpartymi w drzwi, w pozach najkorniejszych niewolnic, cierpliwie siedzą kobiety i oczekują na cwiczącą amerykańską przygodę...

Mechanicznie, jak na Chmielnej, zaczyna każdego Amerykanina przechodzącego koło niej: — „Darling, pójdziesz ze mną?”

Brutalne odwołanie prawdy o rozpuszczenie narzucającej przez wyzysk i głód, o dzieciach stręczących matki żołnierzom amerykańskim — jest zasługą autorki, nie tylko dziełem rzeczywistości, która te prawdy stworzyła. W tych momentach z listów przemawia pisarz. Punkt kompozycyjny jest tu wybrany trafnie, przedstawienie faktów jest dosadne, w rozwoju treści utworu chwila ta osiąga konieczną logikę, stawia dramat. Na tych stronach zwłaszcza należy oprzeć najlepsze nadzieje, jakie może wzbudzić debiut literacki Żółkiewskiej.

Z tych bowiem stron wychodzą dalekie perspektywy na zjawiska, przerastające zakres rzeczywistości pomieszczonej w „Kobietach z Limbach”. Prawda o amerykańskich żołnierzach, z których przyczyny staje się to, czego nie zdołali sorać Niemcy, posiada milczącą, niewyrażoną w pełni przez autorkę wymowę o treści społecznej tej wojny. Potworność jej doświadczeń uzyskuje w tym świetle nowy, daleko szerszy wymiar, niż osiągnięty w pełnych grozy obrazach obozowego niszczenia. Wymiar ten nie został wprawdzie wydobyty w tej książce do końca, ale uzyskano w niej poraż pierwszy jego perspektyw.

Jest to dość dużo, aby zapisać ów debiut na koncie aktywów. W tych kilkunastu listach z Limbach, których nagłówki tchną wzruszającą dawną konwencją nuciową, a których realna zawartość tak jest okrutnie nowoczesna, wiele można odnaleźć treści nieznanych dawnych konwencji. Autorka, która przy końcu należy pedagogicznie ostrzec przed stosowaniem poetyckich wstrętów w tekście swej prozy, dała w książce niewątpliwie dowody odwagi widzenia spraw najbardziej bolesnych i szlachetną próbę swego talentu.

Kazimierz Brandys.

STEFAN OTWINOWSKI

W KRAKOWIE

(List dziewiąty)

W Krakowie odbył się zjazd ogólnopolski kół polonistycznych. Bardzo ważna i orientująca impreza.

Od stanu intelektualnego tej właśnie kształtującej się młodzieży zależeć będzie przyszły rozwój kulturalny szkolnictwa średniego.

Reprezentowane były wszystkie środowiska uniwersyteckie. Najlepiej wyrobiona dyskusyjnie okazała się Łódź.

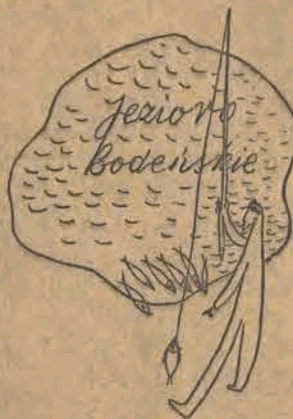
Po skończonych obradach ogłoszono wynik konkursu poetyckiego — trzy pierwsze nagrody otrzymali także przedstawiciele miasta fabrycznego. Dosyć symptomatyczne. Bardzo się z tego ucieszyłem. Potwierdziło to moje raczej odosobnione stanowisko, że są zjawiska i pejzaże bardziej podniecające wyobraźnię artystyczną, niż mury — i kultura wieków osaczona murami.

Referaty na temat współczesnej prozy i poezji wygłosili dwaj Krakowianie, najsłuchaniejsi przedstawiciele naszego Studia Literackiego. Bodnicki mówił o poezji — Mach o prozie. Obaj referenci zdali sprawę ze swego znakomitego odczytania nie tylko w dziełach ale i w bieżącej prasie literackiej. Nieścisły odczytanie większości słuchaczy okazało się dosyć mizerne. Łączy się to z problemem bardzo istotnym — ekonomicznym. Książki nie są tanie. Student nie może sobie pozwolić na indywidualny luksus w tym względzie. Bez kontaktu zaś ze współczesną problematyką literacką — nie może być mowy o właściwym kształceniu wychowawcy. Jaka jest rada? Seminarium i czytelnie polonistyczne powinny mieć specjalny budżet na zakup nowości wydawniczych. Lub może nie przeceniać sprawności tego budżetu — poprostu namówić wydawnictwa do jeszcze jednej filantropii.



Wydawnictwa przecież dobrze prosperują. Niektóre nawet za dobrze. Deklarują nagrody literackie, których literaci nie chcą brać. Istotnie, żenujący to system. Ofiarowywanie książek instytucjom akademickim, czy nawet samym studentom to proceder rzeczywiście o wiele mniej żenujący.

Docent Wyka podniósł słusznie rzecz, narzucającą się jako wniosek ze studenckich dyskusji krytycznych. Mianowicie, że dużo w czasie obrad było zgody. Zgody na klasyzm. I katolicy i marksiści cieszą się z tego, że nawet Przybysz zaczyna być klasyczny. Chęć literatury nie to komunikatywniej — dojrzałej, kształcącej przede wszystkim treścią. Owszem — słuszne to. Nawet trochę za bardzo.



Oczywiście, mądrość — dobra rzecz, jakby powiedział Fijas. Ale kto poza Stefanem Kisielewskim i Jalu Kurkiem — zaryzykowałby pełną gwarancję dla swej wiedzy? Wyka jest sceptykiem konserwatywnym. Kott podobnie — przeszło rok temu powiedział, że tylko Balzac. Będę innym sceptykiem. Powiem: może nie tylko Balzac. Sprawa stosunków międzyludzkich jest ciągle otwarta. Bardzo ją oświeciła Komedia Ludzka. Ale czy formą Balzaca pomogłbym jej w czymkolwiek — dzisiejszemu? Wątpię. Dlatego popieram Brezję, broniącego formy „Czasu Nieludzkiego”. Dlatego po długim namyśle za najplodniejszego nie tylko formalnie dzieła „okupacyjnej” literatury uważam „Jezioro Bodeńskie” Stanisława Dygata.

Za to zbyt po prostu najmłodsi plastycy krakowscy formalizm i naśladownictwo uznali za jedyny sposób kształcenia osobowości artystycznej. Popiera ich miejscowa opinia. Tadeusz Dobrowolski już się raz bardzo naraził tej opinii. Teraz z wielką rezerwą odniósł się do eksperymentu raczej karygodnego. Eksperyment ten w wersji świadków obrony krakowskiej brzmi po prostu tak: Musimy naśladować Francuzów — i nawet lepiej, że robimy to bezwstydnie. Nie mamy własnej szkoły, a szkoła formalna jest jedyną podstawą rozwoju. Obrona nie jest pozabawiona słuszności. Ale i obrona jest formalistyczna. A na to się już zgodzić nie można.

Nie można zgodzić się na rozmowy krakowskie, które aprobując słusznie artystyczne dokonania dalekiego Paryża, nie biorą pod uwagę sensu współczesnego życia w Polsce. W praktyce prowadzi to do zupełnego cynizmu. Do uśmiercania wszystkich wartości żywotnych.

Dopiero trzeba było wystawy plastyków francuskich, żeby młodzież krakowska zauważyła możliwość samej artystycznej pracy... I naśladować już wszystko włącznie z tematem? W oparciu o model fikcyjny? O fałszywy romantyzm — z tęsknotą tylko do literackiej przygody?... Jakież to zresztą krakowskie!

Nie przesadzajmy z tym Krakowem... Ma i to miasto swoje rytmy. A o ile przeżył szersze ożywie, widzieliśmy nawet na tej fałszywej wystawie.

Ale rytmy krakowskie są niewykorzystane. Jedynie w urbanistycznych pejzażach Cybisiowej-Rudzikiej. Czy tego już kontynuować nie można...

A jakież tu frapujący uwiad. Proszę rozłóżyć treści schyłkowe własne. Mieszkaństwo w kawiarniach Noworolskiego. Jakież tu pole do popisu dla groteskowego talentu Mikulekiego. Po co ciągle sprzedawca ryb? Czy tylko dlatego, że to schyłkowy wzór paryski?

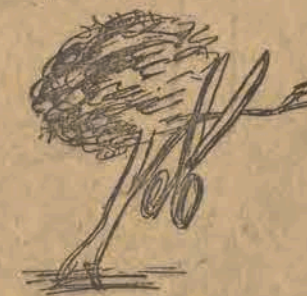


Przecież w Krakowie sprzedaje się rzeczy ciekawsze w kolorystyce, dosłownym i przenośnym. Przecież Francuzi patrzą na nas teraz uważnie.

A myliby się ten, kto by uważał, że sens ich sztuki jest abstrakcyjny, że źródła tylko w technice.

Analiza otoczenia jest w sztuce tym, czym w praktyce reforma. Malarstwo francuskie było zawsze bardzo społecznie francuskie. Najmłodsze malarstwo polskie — sądząc po wystawie krakowskiej — jest znówu passeistyczne. Społecznie, intelektualnie — nie wiem: cyniczne, czy puste.

Naturalnie, zdaje sobie z tego sprawę, że uwagi moje są z gatunku dyletanckich. Tyle tylko, że przekonany jestem o zbawczych skutkach dyletantstwa dla wszelkiej teorii.



W myśl tej teorii życzylibym sobie spotkania wykształconej w myśleniu młodzieży łódzkiej, specjalizującej się w krytyce, z krakowską młodzieżą artystyczną. Z młodzieżą — trzeba to oddać — bardzo żywą w uprawianiu sztuki tylko formalnie ciekawej, trudnej, niespołecznej.

Pod Protektorem dr. Józefa Putka Ministra Poczty i Telegrafów w czasie do 31.XII. 1946 r. odbędzie się z inicjatywy Sp. Wyd. „Czytelnik” OGÓLNOPOLSKI POWSZECHNY KONKURS

pod tyt.

„JAK DOSTARCZYĆ SŁOWO DRUKOWANE NA WIEŚ”

Nagrody wynoszą zł. 50.000.—

Konkurs jest organizowany przez powołany w tym celu Komitet Konkursowy, w skład którego wchodzi przedstawiciele: Ministerstwa i Propagandy, Min. Komunikacji, Min. Oświaty, Min. Poczty i Telegrafów, Związku Gospodarczego R.P. „Społem”, Zw. Zaw. Nauczycielstwa Polskiego, Związku Samopomocy Chłopskiej, Polskiego Radia, Sp. Wyd. „Wiedza” i Sp. Wyd. „Czytelnik”.

CEL KONKURSU

Konkurs ma na celu zwiększenie czytelnictwa na wsi przez stworzenie warunków docierania słowa drukowanego — do ludności wiejskiej.

WARUNKI KONKURSU

1.

Konkurs polega na znalezieniu realnych sposobów, które by umożliwiły praktyczne — szybkie, stałe i punktualne — docieranie na wieś wszelkich wydawnictw z tych miast, w których są one drukowane;

2.

Udział w Konkursie brać może każdy obywatel Państwa Polskiego, zamieszkujący w jego granicach;

3.

Prace swe uczestnicy winni nadsyłać na adres:

KOMITET KONKURSOWY

„Jak dostarczyć słowo drukowane na wieś?” — Warszawa, ul. Daszyńskiego 14 (dawn. Wiejska);

4.

Prace konkursowe powinny być opracowane b. zwięźle (wskazane jest, by nie przekraczały 2 stron papieru formatu biurowego lub 4 stron papieru zeszytowego) i napisane bardzo czytelnie lub na maszynie. Prace napisane nieczytelnie nie będą rozpatrywane;

5.

Wszystkie prace konkursowe muszą być nadsyłane w kopercie zamk

niętej i podpisane tylko godłem, dowolnie obranym; druga koperta zamknięta opatrzona tymże godłem winna zawierać kartkę z nazwiskiem, imieniem, określeniem zawodu i dokładnym adresem autora;

6.

Nadsyłane pomysły konkursowe powinny uwzględniać m. in. następujące momenty: a) nie wszystkie wsie posiadają urzędy pocztowe, b) nie wszystkie wsie leżą przy stacjach kolejowych i autobusowych, c) w jaki sposób mieszkańcy wsi, którzy przez dłuższy okres czasu jej nie opuszczają, mogą stałe otrzymywać i czytać wydawnictwa, d) znane ogólnie i stosowane obecnie sposoby kolportażu nie mogą być przedmiotem prac konkursowych. Chodzi o pomysły nowe;

7.

Za najlepsze pomysły, które praktycznie nadawać się będą do wykonania w terenie, będą przyznane przez Sąd Konkursowy następujące nagrody: I-sza nagroda — zł. 20.000, II-ga nagroda zł. 15.000, III-cia nagroda — zł. 10.000, IV-ta nagroda zł. 5.000;

8.

Termin nadsyłanych prac konkursowych upływa z dniem 31 grudnia 1946 r. Miarodajną jest data stempla pocztowego;

9.

W dniu 31 stycznia 1947 roku odbędzie się ogłoszenie wyników konkursu za pośrednictwem prasy i radia z podaniem nazwisk autorów najlepszych prac;

10.

Komitet Konkursu zastrzega sobie prawo nie przyznania żadnej nagrody, jeśli nadesłane pomysły okazały się nierealne, lub też rozdzielenia kwoty konkursowej w inny sposób zaprojektowany przez Sąd Konkursowy;

11.

Projekty nagrodzone stają się własnością ogółu.

PRZEGLĄD PRASY

W poświęconej „Odrodzeniu”, z racji ukazania się setnego numeru tego pisma, krotnie, pozwoliłem sobie przelotnie wskazać na zasadnicze różnice, jakie istnieją między „Odrodzeniem” — pismem postępowym a tygodnikami przeciwnego obozu, wśród których między innymi wymieniałem „Tygodnik Warszawski”. Różnice te z pewnością nie wynikają tylko z nierównego, a często dyskwalifikującego „Tygodnik Warszawski” poziomu utworów literackich. Nie one bowiem stanowią dziś przede wszystkim o obliczu pisma społeczno-literackiego. Zresztą nie ufam hasłu apolityczności pisarza i nie wydaje mi się, by należało oddzielać dzieło literackie od inspirującej je ideologii.

„Tygodnik Warszawski”, którego bieżący (46) numer zamyka roczną pracę redakcyjną go kolegium, jest pismem ideologicznym. Zbyt często omawiałem w mojej kronice poszczególne numery i poszczególne artykuły tego pisma, by obecnie, z okazji rocznicy, nalepieć na nim etykietkę po raz któryś z rzędu. W każdym razie nie mogę powstrzymać się od uwagi, że niewątpliwie wielce pochlebna sobie autor redakcyjnego artykułu w nr 46 („Rok pracy „Tygodnika Warszawskiego”) gdy pisze, że przeciwnicy ideologii pisma zarzucali mu między innymi „niebezpieczny radykalizm”. Tego bowiem radykalizmu, nawet bez przymiotnika, nikt nie znalazł w „Tygodniku”, który propaguje najbardziej skostniałe, konserwatywne, uparte w swojej niechęci zrozumienia rzeczywistości, formuły katolicyzmu na poziomie organisty.

Takie formuły wypowiada autorzy „Tygodnika” zarówno w dziedzinie społecznej, jak i ekonomicznej czy politycznej i, rzecz prosta, ideologia ta nie może pozostać bez wpływu na zamieszczany w piśmie materiał literacki.

Byłoby rzeczą śmieszną domagać się od tygodnika katolickiego, by stał się na przykład organem myśli marksistowskiej. Ale wolno nam mieć pretensje do sposobu naświetlania spraw przez „Tygodnik” w ramach jego własnej ideologii — ideologii katolickiej.

W jednym z niedawno przeglądanych przeze mnie numerów pewnego czołowego tygodnika katolickiego znalazłem artykuł w którym autor, wspominając o katolicyzmie francuskim, stwierdza z radością, że nasz katolicyzm jest dużo lepszy, nowiem katolicy francuscy zaprzepaścili dzieło Kościoła, godząc się na laicyzację życia społecznego, na rozdział Kościoła od Państwa.

Istotnie — różnica między katolicyzmem polskim i katolicyzmem francuskim jest olbrzymia i płynie zapewne stąd, że gdy w Polsce katolicyzm wskutek specyficznych warunków i w wyniku struktury społecznej stał się nieomal jednym z elementów biologii narodowej, we Francji myśl katolicka, dzięki laicyzacji życia, musiała rozwijać się nieustannie i w sprawach społecznych dotrzymuje dziś kroku myśli świeckiej. We

Francji katolicka metoda propozycji przemian społecznych jest oczywiście odmienna od propozycji laickiej, ale społeczna ideologia katolicka, katolicy intelektualni i działacze nie służą tam via Episkopat wstecznym i bynajmniej nie duchowym interesom bardzo określonych kół politycznych. Dlatego też rola „Tygodnika Warszawskiego” w naszej rzeczywistości, gdzie katolicy mają równe szanse w wypracowywaniu nowej myśli społecznej, zgodnej z Ewangelią, musi być oceniona negatywnie. Wystąpienia działaczy katolickich, takich jak ks. Michalski, publicystyczne wypowiedzi ks. Weryńskiego, wreszcie enuncjacje katolickich intelektualistów, jak Jerzy Zagórski, czy Jerzy Zawieyski, świadczą o tym, że myśl katolicka w Polsce jest żywa i że stworzenie konsensu w działaniu praktycznym między katolikami i intelektualnymi ugrupowaniami lewicy jest zupełnie niemożliwe. W tym miejscu chciałbym przypomnieć, że z ideologii katolickiej, jak uczy nas o tym Francja, nie wynika bynajmniej tak wielka niechęć do społecznej i politycznej rzeczywistości polskiej, z jaką spotykamy się w „Tygodniku Warszawskim”. Praktycznie świadczyć by mógł o tym znany już dziś powszechnie artykuł Emanuela Mounier, wybitnego działacza katolickiego, redaktora „Esprit”, o Polsce dzisiejszej, teoretycznie — wypowiedzi wielu katolików francuskich na tematy ustroju społecznego przy czym lewą granicą tych wypowiedzi nie zawsze jest radykalizm, bywa, że katolicy ci nie wahają się określać sami, jako katolicy komunici.

Oczywiście, rozumiem dobrze, że Francja z uwagi na odmienną przeszłość katolicyzmu i odmienną strukturę wewnętrzną nie może być przykładem dla ślepego naśladowania. Mimo to przykład Francji wskazuje dobitnie, że myśl katolicka nie musi zamykać się koniecznie w granicach odezwy Episkopatu. Jeśli tak jest, jeśli roczna działalność „Tygodnika Warszawskiego” dowodzi wyraźnie, że granic tych nie przekroczone, to wypada stwierdzić bezstronnie czytelnikowi, że „Tygodnik Warszawski” posłuszny jest w swojej praktyce nie tyle myśli katolickiej ile politycznym interesom określonych, prawicowych ideologii. I dlatego sądzę, że się nie pomylę, gdy powiem, że reprezentowany przez „Tygodnik Warszawski” pogląd na rzeczywistość Polski i świata będzie tracił coraz to więcej zwolenników. Ci bowiem, choć katolicy niewątpliwie, widzą już dziś więcej i jaśniej niż redakcyjne kolegium. Bardzo charakterystycznie naświetla ten konflikt między skostnieniem górnych warstw katolickich w Polsce i działaniem mas katolickich list otwarty Ligi Kobiet do Episkopatu Polskiego. W omawianym numerze „Tygodnika” znajdujemy odpowiedź, zapewne oficjalną na ten list, w której autor stwierdza, że władze tej organizacji, mimo, iż większość jej członków to niewątpliwie katolicy, postępują nie po katolicku, gdyż posłanki z L. K. głosowały za reformą prawa małżeńskiego, którą Kościół potępił. Oto przykład konfliktu w sprawie może nie zasadniczej, ale niezmiernie ważnej. Tych bolesnych rozczarowań przeżyje zapewne jeszcze autor listu wiele i to wskutek owego zasadniczego konfliktu między przykrojoną do potrzeb ideologii mieszczańskiej polityką wyższych dostojników Kościoła z codzienną praktyką życiową katolickich mas.

Gdyby istniało u nas choć jedno pismo katolickie, które by podjęło dyskusję nad teorią i nad praktyką przemian dokonywanych się dziś nie tylko w Polsce, ale i w całym świecie okazałoby się, jak we Francji, że katolicyzm potrafi i może stać się ruchem żywym i nowoczesnym. Ze stron „Tygodnika Warszawskiego” wieje stęchłą i prowincjonalizmem a znakomita ich wielkość, zwłaszcza tych, które traktują o sprawach społecznych i politycznych, została napisana piórem obłudy i fałszu.

ph.

Czysta muzyka

Norbert Schultze kompozytor niemiecki, autor słynnej piosenki „Lili Marlene” i marsza hitlerowskiego „Bomby nad Anglią” ułożył ostatnio nowy marsz wojskowy dla stajonującej w Berlinie amerykańskiej policji wojskowej. Nie znamy tytułu tego marsza, ale sądzę, że mógłby się nazywać „Mister Byrnes w Niemczech”.

Pozatem, oczywiście denazyfikacja istnieje. Norbert Schultze umieszczony został na czarnej liście, ponieważ wstąpił do partii hitlerowskiej w roku 1940 i w czasie wojny umiał wdzięczną muzyką ciężkie życie SS-owców. Norbert Schultze został ogrodnikiem, przez rok pracował w miejskim ogrodzie warzywnym w amerykańskiej strefie Berlina. Ale Amerykanie cenili muzykę i nie pozwolili aby Norbert Schultze dłużej marnował swoje talenty wachając pomidory. Norbert Schultze układa piosenki dla M. P. Właściwie, dlaczego nie?

Papież i policjanci

Papież Pius XII przyjął ostatnio 2.000 elewów szkół policyjnych we Włoszech i wygłosił dłuższe przemówienie o cechach doskonałego policjanta.

„Cechy te — mówił — mogą się rozwijać i zapuszczać korzenie jedynie w takim gruncie, który zapewnia siłę i żywotność: w żywej wierze w Boga, który jest panem ludzi i społeczeństw. W ten sposób służba policjanta podnosi się do godności służby bożej. I tak krocząc pod opieką Boga policjant czuje będzie na sobie potężną rękę Najwyższego”.

Przekłady z Bloka

Ukazał się niedawno numer „Kamieny” poświęcony znakomitemu poecie — symboliście rosyjskiemu Aleksandrowi Błokowi z okazji dwudziestolecia jego śmierci. Redaktor „Kamieny”, niestrudzony entuzjasta poezji słowiańskich, uczynił z tego numeru rodzaj antologii przekładów z Bloka w języku polskim. Antologii dość okazałych rozmiarów, bo liczącej ponad 15 arkuszy druku. Publikacja ta była u nas w obecnej chwili potrzebna, choć wydaje się, że wybór przekładu dokonany został w sposób niezbyt szczęśliwy i że wystarczyłby raczej krótki wybór najbardziej istotnych dla twórczości Bloka wierszy, zwłaszcza o charakterze społecznym, z pominięciem całego szeregu utworów „restauracyjno-mistycznych”. Utwory te, tak charakterystyczne dla pewnego okresu twórczości Bloka, dla nas obecnie nie reprezentują go takim, jakim nam się przedstawia dziś — poeta, który był sumieniem inteligencji rosyjskiej z okresu przedrewolucyjnego państwa. Wiersze „mystyczne” zaciemniają raczej obraz poety i stanowią wyłącznie pozycje historyczno-literackie, bibliograficzne.

Uderza tu jednak rzecz inna. Na 84 przekłady wierszy Bloka 52 czyli 62 proc. przypada na tłumaczenia K. A. Jaworskiego, a 32 wiersze czyli 38 proc. na przekłady wszystkich innych tłumaczy polskich. Redaktor „Kamieny”, aby ukazać się w najpełniejszym świetle jako tłumacz, nie zawahał się nawet przed umieszczeniem obok wspomnianego, kongenialnego przekładu „Kroków komandora”, dokonanego przez Lieberta — swojej próby tłumaczenia. Nie odmawiając K. A. Jaworskiemu uznania, jako zdolnemu i płodnemu tłumaczowi, nie odmawiając nawet jego przekładowi „Kroków komandora” licznych walorów poetyckich — zestawienie tych dwóch przekładów obok siebie musimy uważać za krok co najmniej niezreczny.

Aby uniknąć głosowności, przytoczmy przynajmniej jedno zdanie, które wyjaśni dlaczego K. A. Jaworski nie powinien być umieszczony obok tłumaczenia Lieberta. W rosyjskim tekście „Donna Anna spł skłoniła na ścieżce ruki”. Liebert poetycko dosłownie tłumaczy to „Donna Anna spł, na krzyż złożony rece”, a Jaworski, chcąc być oryginalnym i nie naśladować Lieberta, przekłada to zdanie tak: „Donna Anna spł i krzyż trzyma w rekach”. I po co było tłumaczyć po Liebercie, po co było brać po Bekwarku lutnię, gdy na takim przekładzie, chcąc nie chcąc w zestawieniu Liebert Jaworski trzeba położyć krzyż. Na miłość boską, nie powtarzajmy błędów z lat międzywojennych — przekład to nie okazja do popisów, to praca poetycka, ważna, potrzebna i o znaczeniu społecznym!

rkm.

Zgwałcenie Europy i złote myśli Jacka Fröhlinga

W ostatnim „Odrodzeniu” (Nr 46) czytamy:

„Kompensując tę niemożność, Napoleon gwałcił Europę, która była dla niego wieloletnim i symbolem czcigodnej matki. Nie kołnec na tym. Wierny uczeń Freuda, prof.

Jeckel, uważa za rzecz bezsporną, że Napoleon był homoseksualistą, czego dowodem ma być niezwykle ciepły i serdeczny stosunek do jednego z braci. Ludwig zwraca przy tej okazji z lubością uwagę, że prof. Jeckel się pomylił: historyczne fakty, które przytacza nie odnoszą się do brata Napoleona Ludwika, lecz do drugiego jego brata Lucjana. Jeżeli chodzi o Napoleona, to poza sprawą kompleksu Edypa i homoseksualizmu oburza jeszcze Ludwiga twierdzenie, prof. Jeckla, jakoby Napoleon związał się z lekkomyślną Józefiną tylko dlatego, że niewierność odpowiadała mu, boć przecież niewierna była mu matka Letycja...”

— Tak w skrócie — pisze Jacek Fröhling — wyglądają zrodzone w pasji i furii zarzuty Ludwiga przeciw psychoanalizie, Freudowi i freudyzmom”.

Nie wiem oczywiście, co Ludwig napisał a co Fröhling wyczytał i kto jest w istocie za ten bełkot odpowiedzialny. Ale zdumiewają mnie rozlane licznie w artykule złote myśli samego już Jacka Fröhlinga, świadczą one niezbitie o intelektualnym spokoju umysłu i ducha dyplomaty. Posłuchajcie i podziwiajcie:

„Cokolwiek by mówili lub pisali zarówno liczni entuzjaści Freuda, jak i niemniej liczni jego przeciwnicy i krytycy — wszystko zabarwione jest afektem. I entuzjaści i przeciwnicy wskutek tego nie są w stanie wyzwoić się od przesady, zarówno w wyolbrzymianiu plusów, jak i w nadmiernym wydymaniu i podkreślaniu minusów”.

Albo taka złota myśl:

„Psychoanaliza ma obok swoich zasług i zalet niemały rejestr wad i grzechów, kto rości sobie pretensje do nieomylności, ten zawsze musi się liczyć z tym, że ktoś inny nieomylność tę zakwestionuje i zaatakuję”.

Słownie, panie Jacku!

rdo.

Korespondencja

Do

Redaktora „Kuźnicy”

We wstępie do swojej noweli „Ucieczka z krainy Lambertów” Paweł Hertz kreśląc dzieje rodziny przemysłowców łódzkich pisze co następuje:

„Mój pradziadek Mateusz dorobił się majątku w błogosławionych latach siedemdziesiątych. Niewielki warsztat tkacki odziedziczony po ojcu, potrafił zamienić w niezłe prosperującą fabryczkę, że znów w duże przemysłowe zakłady. Ogromne imperium rosyjskie dostarczało z jednej strony surowca — wełny z owiec wypasanych w Kirgizji i bawełny, którą zbierali poddani cara na polach podbitego Turkiestanu — z drugiej zaś strony, nieuprzedmiotowione i rozległe, było chętnym odbiorcą fabrykatów. Tak powstały fortuny łódzkich przemysłowców...”

Wydaje mi się, że opis ten jest niezgodny z historyczną prawdą. Niewątpliwie Łódź pracowała dla imperium, około 3/4 produkcji przemysłu włókienniczego szło w głąb Rosji. Ale surowce nie przychodziły z Rosji. Przychodziły z Niemiec. Gwałtowny rozwój przemysłu włókienniczego w Łodzi i Sosnowcu wiąże się przede wszystkim z systemem wysokich ceł protekcyjnych, wprowadzonym w państwie Rosyjskim po roku 1877. Kipitaliści niemieccy, zakładali fabryki blisko granicy, aby przeskoczyć przez barierę cełową i wykorzystać zaraz dwie rzeczy: taną siłę roboczą w Królestwie Kongresowym i możliwość szmuglu bawełny przez granicę.

Fabrykanci sosnowieccy — pisze B. Budkiewiczowa w pracy „Ruch robotniczy w Królestwie Polskim w latach 1870—1900 (Białoruska Akademia Nauk. Mińsk. 1934). — potrafili wyzyskać dla siebie zarówno wysokie ceł protekcyjne na granicy, wprowadzone przez rząd rosyjski, jak i niską taryfę kolejową, ustaloną przez komunikację kolejową rosyjsko-niemiecką. W ten sposób potrafili oni powiększyć zysk, zarabując na cich, jako fabrykanci rosyjscy, a na taryfach jako niemieccy... Bliskość granicy pozwalała otrzymywać bez wielkich kosztów przewozić materiały surowe i półfabrykaty z zagranicy niemal w ten sam dzień, cennie odbywało się częstokroć bez wyładowywania towarów, w wagonach, przy czym praktykowano mnóstwo zwyczajnych szacherek, po prostu przemyt...”

Podobnie wyglądały sprawy i w Łodzi. Bawełna przychodziła z Niemiec za pośrednictwem niemieckich importerów, utrzymujących stałe stosunki handlowe z Ameryką wełną z Niemiec i częściowo z Królestwa. W latach 80-tych w przemysle bawełnianym Kongresówce występuje już bardzo daleko idąca koncentracja kapitału. Jest to typowy przemysł kraju półkolonialnego w okresie imperializmu gospodarczego. Kapitał niemiecki przenosi się do kraju nieuprzedmiotowionego.

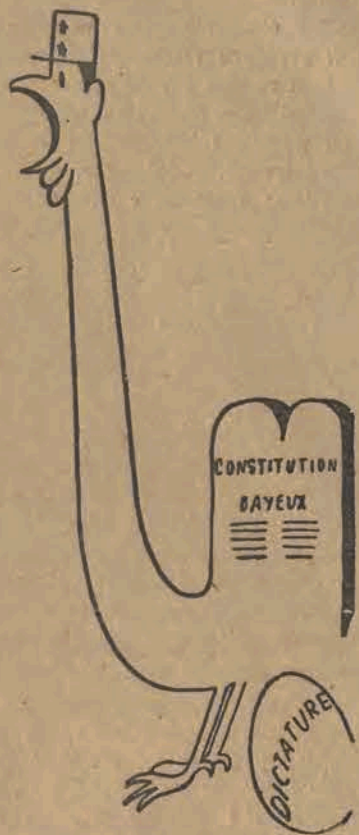
Jan Kott

Łódź, 20. 11. 1946 r.

SPROSTOWANIE

W „Przeglądzie prasy” w Nr 46 opuszczono podpis autora: ph.

PO KLĘSCIE WYBORCZEJ DE GAULLE'A



„Jako Kolumba”
(Action)

Redaguje: Zespół „Kuźnicy”.
Wydawca: Zespół „Kuźnicy”.
REDAKTOR NACZELNY: STEFAN ŻÓŁKIEWSKI.
Redaktor naczelny przyjmuje we wtorki, czwartki i soboty od godziny 11 do 13.
Adres Redakcji i Administracji: ul. Piotrkowska Nr 96. — Telefon 205-42.
CENY OGŁOSZEŃ:
Kolumna zł 60.000; 1/2 kolumny zł 30.000; 1/4 kolumny zł 15.000; 1/8 kolumny zł 8.000; 1/16 kolumny zł 5.000. — Drobne ogłoszenia 25 zł za 1 mm na 1 szpalcie.
Drukarnia Nr 4 Sp. Wyd. „Czytelnik” — Łódź, Żwirki 4. D-01150